ZWYCIĘŻYMY

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca na ziemi włoskiej

ROK IV Nr 30 (120) NIEDZIELA, 17 WRZEŚNIA 1944 R. CENA 10 LIRÓW

ARP.

ŻOŁNIERZ I KONSTYTUCJA

Przysięga, którą składa każdy żołnierz, zobowiązuje go do poszanowania i obrony konstytucji. Takie samo zobowiązanie zaciąga Prezydent Rzeczypospolitej, minister, senator, poseł, sędzia i każdy obywatel piastujący funkcję państwową. Tak jest w każdym państwie praworządnym. Tak jest również w Polsce. Konstytucja jest uroczystym kontraktem, wiążącym nas w uporządkowaną całość prawną. Bez niej stajemy się w oczach świata sypkim piaskiem, a nie ujętą w państwo społecznością.

W czasach pokojowych i normalnych zobowiązania nasze wobec konstytucji uważaliśmy za rozumiejące się same przez się. W praktyce życia codziennego nie dostrzegaliśmy ich nawet, tak jak nie dostrzega się powietrza wchłanianego przez płuca pod grozą utraty życia. Na tle jednak wojny, niezwykłych warunków, w jakich znaleźliśmy się oraz prób rozłożenia naszego porządku państwowego, przysięga nasza na konstytucję nabrała szczególnej wyrazistości i znaczenia.

Czujność nasza na odcinku konstytucyjnym wzmogła się zwłaszcza od chwili, kiedy po podróży p. Mikołajczyka do Moskwy dowiedzieliśmy się, że strona przeciwna — rząd sowiecki i żyjący na jego utrzymaniu tzw. Komitet Wyzwolenia Narodowego — domagają się natychmiastowego zniesienia przez rząd, drogą oczywiście nielegalną, obecnej konstytucji z r. 1935 r. i powrotu do ustawy zasadniczej z r. 1921, która uznana była niemal jednomyślnie przez społeczeństwo za nieodpowiednią dla naszych potrzeb państwowych. Propozycje sowieckie były dla nas dowodem, że obecna konstytucja polska jest Rosji niewygodna i że wskutek tego jest zagrożoną.

Premier Mikołajczyk oświadczył, jak wiadomo, że rząd nie może samowolną decyzją znieść konstytucji, gdyż nie ma do tego prawa, jak nie ma do tego prawa Prezydent Rzeczypospolitej, ani też żadne ciało stworzone ad hoc na emigracji lub w kraju. Konstytucję władne są zmienić jedynie z zastosowaniem przewidzianej procedury izby ustawodawcze wybrane w swobodnych wyborach. Premier Mikołajczyk uzasadniał swe stanowisko również ważkim argumentem, że z chwilą uznania konstytucji z roku 1935 za nieobyłą, wszystkie akty państwowe podpisane przez Polskę od tego czasu — nie wyłączając traktatów z W. Brytanią, w oparciu o które prowadzimy wojnę, jak i różnych umów z Rosją — musiano by uznać za nieważne.

Gdyby powyższe stanowisko premiera było ostateczne, można by mu przyklasnąć, tym bardziej, że to już po raz drugi w naszych dziejach Rosja miesza się w sposób tak drastyczny i zuchwały w polskie sprawy ustrojowe. Przecież już konstytucja 3 maja 1791 r. — czczona w Polsce do dnia dzisiejszego — wywołała podobne gniewy w Petersburgu i stała się powodem dyplomatycznej akcji rosyjskiej przeciwko nam. Mając w pamięci te stałe tendencje polityki rosyjskiej, zmierzającej do utrzymywania w Polsce ustroju możliwie słabego i przeciwstawiającej się każdej próbie jego uporządkowania lub wzmocnienia, trudno zrozumieć dalsze „zapewnienia", udzielone przez p. Mikołajczyka partnerowi sowieckiemu. Przekreśliły one bowiem w dużej mierze jego poprzednie odmowne stanowisko w sprawie „usunięcia" obowiązującej konstytucji.

Zapewnienia te szły w dwóch kierunkach: 1) rząd dążyć będzie do zmiany konstytucji z r. 1935 w drodze przeprowadzenia jak najszybszych wyborów w Polsce, 2) na razie zaś konstytucja tak będzie stosowana, by Rosja mogła być zadowolona. Na konferencji prasowej z dziennikarzami zagranicznymi premier Mikołajczyk mówiąc o niemożności przekreślenia konstytucji dodawał jednak znacząco, chyba pod adresem Rosji, że „trzeba mieć dobrą wolę i minimum zaufania, iż pewne rzeczy ustalone i postanowione zostaną dotrzymane".

Nie bardzo wiemy co oznacza owo tajemnicze zdanie. Co zostało „ustalone i postanowione"? Gdzie to nastąpiło? Kto to uczynił? W czyim imieniu? I na podstawie jakich pełnomocnictw? Gdyby bowiem okazało się, że sprawy związane ze zmianą lub stosowaniem konstytucji były „ustalane i postanawiane" w porozumieniu z przedstawicielami obcego mocarstwa, z którym nawet nie utrzymujemy stosunków dyplomatycznych, lub z jego płatnymi agenturami, wówczas fakt taki oznaczałby dopuszczenie czynników obcych do mieszania się w nasze sprawy wewnętrzne.

Nie chcemy jednak przesądzać tego, co miał na myśli p. premier, natomiast idąc krok za krokiem za dalszym tokiem jego wywodów natrafiliśmy na szeroko rozwinięty, a otwarcie przedstawiony plan omijania konstytucji, specjalnego jej stosowania, a nawet niewykonywania całych jej rozdziałów.

Przemawiając bowiem w dalszym ciągu do dziennikarzy zagranicznych p. premier powiedział — cytujemy wciąż według oficjalnego tekstu PAT — „najistotniejszą kwestią jest jednak fakt, że jakkolwiek formalnie obowiązuje konstytucja z 1935 r., to jednak jej stosowanie poszło w duchu demokratycznym i to nie w okresie „koniunkturalnym", lecz począwszy od roku 1939. Gdy się bowiem okazało — mówił dalej premier — że szereg państw, które w 1939 r. były neutralne, a w tym Stany Zjednoczone mogą uznawać jako polski rząd w legalnej formie utworzony tylko na podstawie konstytucji z 1935 r., postanowiono jednak usunąć z niej wszystko, co jest antydemokratyczne i wykonywać konstytucję w duchu demokratycznym".

Premier przytoczył szereg przykładów „usuwania" antydemokratycznych przepisów konstytucji oraz szereg „demokratycznych" decyzji powziętych z ominięciem jej postanowień. (Do nich należy powołanie Rady Narodowej, złożonej jedynie z przedstawicieli stronnictw rządowych z wyłączeniem opozycji). Wśród tych przykładów premier powołał się również na fakt następujący: „Prezydent R. P. zobowiązał się wobec kraju nie korzystać bez zgody rządu z uprawnień art. 13." Artykuł 13. konstytucji mówi o prerogatywach Prezydenta R. P., to znaczy o tych decyzjach państwowych, które należą wyłącznie do jego kompetencji i nie wymagają kontrasygnaty prezesa rady ministrów. Wśród prerogatyw tych znajduje się „mianowanie i odwołanie prezesa rady ministrów". Prezydent R. P. uzależnił zatem wszelkie swe postanowienia w zakresie zmiany rządu od jego zgody.

Pomijając fakt, czy decyzja w sprawie art. 13. była prawnie dopuszczalna — można ją traktować jako wyraz osobistego stanowiska obecnego Prezydenta R. P., do którego poglądu przyłączył się również obecny jego następca p. Tomasz Arciszewski — warto zauważyć, że postanowienie to wytworzyło sytuację dość parodoksalną.

Gdyby bowiem zobowiązaniu temu przypisywać miano większe znaczenie niż samej konstytucji, doszlibyśmy do stanu zupełnej niezależności rządu, którego dymisji nie może zażądać parlament, gdyż parlamentu nie ma, ani też nie mógłby jej udzielić Prezydent R. P., gdyż dla usunięcia rządu musiałby uzyskać poprzednio zgodę usuwanego, co zazwyczaj, po ludzku rzecz biorąc, jest dość trudne. Zatem zaistniałby stan zupełnej nieodpowiedzialności rządu. Konia jednak z rzędem temu, kto wykaże, że wskutek tej „zmiany" ustrój nasz stał się bardziej „demokratyczny". Przypomnijmy sobie niedawne nauki p. Churchilla dla narodu włoskiego, któremu premier brytyjski wyłożył, że cechą państwa wolnościowego jest między innymi dopuszczanie opozycji do głosu, istnienie prawa krytyki rządu oraz zapewnienie możliwości jego obalenia drogą konstytucyjną.

Ale nie o to nam tu chodzi. Wśród dowodów „zdemokratyzowania" ustroju państwa premier powołał się również na fakt przeprowadzenia w r. 1943 zmiany dekretu o ustroju władz wojskowych w kierunku ograniczenia kompetencji Naczelnego Wodza. Następnie zaś oznajmił, że rząd jego przygotował „projekt utworzenia gabinetu wojennego rady ministrów na wzór angielski z udziałem szefa sztabu generalnego", co ma wskazywać, że „rząd nie idzie w kierunku rządów wojskowych w Polsce". Wreszcie odpowiadając na dalsze pytania dziennikarzy zagranicznych oznajmił, że „podobnie jak w Anglii stworzony byłby gabinet wojenny, w którym uczestniczyć będzie szef sztabu głównego", po czym dodał: „instytucja Naczelnego Wodza zostałaby skasowana".

Mamy tu zatem rozwinięty w ogólnych zarysach projekt obalenia obecnej, na tradycji polskiej opartej, organizacji naczelnych władz wojskowych, z usunięciem instytucji Naczelnego Wodza włącznie. Nie trzeba podkreślać, że zniesienie instytucji Naczelnego Wodza — o ile nie nastąpi drogą legalnej zmiany konstytucji — byłoby jej złamaniem i pogwałceniem.

Można co prawda wysnuć z art. 63. pkt. 3. konstytucji wniosek, że Prezydent R. P. nie musi mianować Nacz. Wodza i może sam pełnić jego funkcje, ale nikt nie jest władny znieść arbitralną decyzją instytucji Wodza Naczelnego. W razie braku nominacji Naczelnego Wodza jego obowiązki z wszystkimi należnymi prerogatywami w zakresie dowodzenia pełni Prezydent R. P. jako Zwierzchnik Sił Zbrojnych. Konstytucja pod tym względem nie nasuwa wątpliwości. Przewiduje nawet w art. 63. pkt. 1., że dekret Prezydenta R. P. o naczelnych władzach wojskowych ustalić ma „sposób kontrasygnowania aktów wydawanych przez siebie (Prezydenta R. P.) jako Zwierzchnika Sił Zbrojnych". Nie może być jednak mowy o „skasowaniu" instytucji Wodza Naczelnego, którego sposób mianowania, odwoływania, zakres jego obowiązków i odpowiedzialności, a nawet udział w pewnych czynnościach państwowych (Zgromadzenie Elektorów

(Dokończenie na str. 7.)

W drugą rocznicę rozkazu tworzącego Armię Polską na Wschodzie przypominamy ocenę dokonanej w ciągu tych dwóch lat pracy, wypowiedzianą przez Naczelnego Wodza generała broni Kazimierza Sosnkowskiego przy dekoracji orderem Virtuti Militari dowódcy i żołnierzy 2. Korpusu.

„Nie zawiodły Ojczyzny mężne serca żołnierzy 2. Korpusu"

„Na czele okrytych sławą i godnych podziwu żołnierzy 2. Korpusu generał dywizji Anders pracą swoją i czynami na polu walki dobrze zasłużył się Ojczyźnie".

ROTA PRZYSIĘGI ŻOŁNIERSKIEJ

Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy Świętej Jedynemu, być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej, sztandarów wojskowych nigdy nie odstąpić, stać na straży Konstytucji i honoru żołnierza polskiego, prawu i Prezydentowi Rzeczypospolitej być uległym, rozkazy dowódców i przełożonych wiernie wykonywać, tajemnic wojskowych strzec, za sprawę Ojczyzny mej walczyć do ostatniego tchu w piersiach i w ogóle tak postępować, abym mógł żyć i umierać jak prawy żołnierz polski. Tak mi dopomóż Bóg i Święta Syna Jego Męka. Amen.

JANUSZ KATYŃSKI

Zmienna taktyka — stały cel

Tezy Lenina

Koncepcje wielkiego proroka bolszewizmu Lenina były oparte na tezie następującej:

Wojna światowa 1914 - 1918 nie rozstrzygnęła podstawowych ekonomicznych i politycznych postulatów świata. Dlatego też, tak nie wygasłe antagonizmy, jak i nowe dysproporcje — rezultat błędów pokoju wersalskiego, załatwione niewłaściwie problemy narodowościowe, walki o rynki zbytu na tle źle uregulowanych zagadnień gospodarczych itp., muszą doprowadzić świat już w niedalekiej przyszłości do nowej wojny, a w jej wyniku do rewolucji powszechnej.

W tej przyszłej wojnie potężna Armia Czerwona, pozostając początkowo na uboczu, wkroczy na plac boju w momencie odpowiednim i wybranym, by wyczerpanym walką przeciwnikom zadać le coup de grace i ująć w swe ręce dzieło rewolucji, która jak burza powinna ogarnąć cały świat.

Lecz niezależnie od czołowej i decydującej roli, jaką wyznacza Lenin Czerwonej Rosji i jej armii w finalnym akcie światowych zmagań, uważa on, że sam proces dojrzewania antagonizmów międzynarodowych i rewolucyjnego wrzenia mas należy opanować i przyśpieszyć. Równolegle więc z akcją podtrzymywania i zaostrzenia konfliktów pomiędzy poszczególnymi państwami, winna być — według Lenina — prowadzona intensywna kampania rozsadzania tych państw od wewnątrz. Wykonaniem tej pracy obarcza Lenin III Międzynarodówkę, a ściślej mówiąc jej organ wykonawczy — Komintern.

W planie strategicznym tej wywrotowej kampanii uwzględnia Lenin Niemcy, jako największe centrum robotnicze w Europie, Włochy, Francję i Hiszpanię. Lecz obiektem głównym, a zarazem najbardziej ponętnym jest — Anglia z jej olbrzymim imperium. Ten bastion kapitalizmu, bezpośrednio trudno dostępny, należy, według Lenina, podminować u fundamentów przez oddziaływanie na brytyjskie kolonie, a szczególnie Indie. Równolegle więc z dywersją na terenie państw Europy, chce Lenin rewoltować kraje kolonialne oraz Chiny i sprowokować „wielki bunt uciśnionych ludów azjatyckich".

Te leninowskie plany posłużyły jako wytyczne dla późniejszych poczynań Kominternu (czytaj Kremla). Teza wodza o przyszłej bliskiej wojnie zakończonej rewolucją światową, stała się „spiritus movens" polityki wewnętrznej i zagranicznej Stalina, a jego doktryna o drogach prowadzących do światowego komunizmu stanowi do chwili obecnej istotną treść „nauki leninizmu - stalinizmu".

Trocki - Stalin

Wśród leninowskiej gwardii jeszcze za życia „proroka" zarysowujące się różnice w interpretacji bolszewickiego „talmudu" nabierają po jego śmierci charakteru ostrych zatargów, a nawet śmiertelnych nienawiści. „Schizmy" Trockiego była tzw. teoria o „rewolucji permanentnej", nie uwzględniającej kolejnych etapów organizacyjnych. Przeciwstawia się jej zdecydowanie Stalin głosząc, że warunkiem „sine qua non" dla wybuchu rewolucji powszechnej jest uprzednia budowa i stabilizacja komunizmu w tak olbrzymim państwie jakim jest Rosja. Ta walka, jak wiemy, kończy się porażką Trockiego.

Stalin obejmuje władzę nad Rosją. Z żelazną wolą, wrodzonym uporem i całą bezwzględnością — zabiera on się do realizowania doktryny Lenina, lecz według recepty własnej, a tą jest utworzenie na gruzach dawnej Rosji — państwa komunistycznego, mającego stanowić b a z ę o p e r a c y j n ą i w y p a d o w ą w przyszłej kampanii na zewnątrz Z.S.R.R.

Następujące warunki mają, według Stalina, decydować o tym, ażeby ta baza okazała się niezawodną, gdy nadejdzie moment rozgrywki ze światem kapitalistycznym:

1) Zdobycie przez Stalina absolutnej władzy nad Rosją.
2) Utworzenie potencjału wojennego ZSRR w skali maksymalnej.
3) Przygotowanie poza jego granicami najbardziej dogodnych warunków dla sowieckiej interwencji w przyszłym konflikcie światowym.

Walki o władzę i tworzenie potencjału wojennego

Ostatni okres wywalczania przez Stalina władzy osobistej, absolutnej i niepodzielnej można uważać za skończony w roku 1934. Nauka leninizmu staje się oficjalnie nauką leninizmu - stalinizmu. Jej twórca staje się wręcz nieomylnym, zaś jego nieomylność dogmatem dla każdego obywatela ZSRR. Organem wykonawczym, za pomocą którego do dnia dzisiejszego sprawuje absolutnie rządy nad Rosją, jest NKWD z własną wielką i świetnie wyposażoną armią.

Równolegle z wywalczaniem sobie dyktatury przystępuje Stalin do tworzenia wielkiego potencjału wojennego, w związku z czym w styczniu 1933 r., po zamknięciu pierwszej piatiletki publicznie stwierdza: „Jesteśmy już dzisiaj w stanie nie tylko uniemożliwić wszelką interwencję zbrojną, a l e i p o d j ą c p r z e c i w k o n i e j a t a k".

Działalność Stalina na zewnątrz ZSRR, szła dwoma torami: jednym rozwijała się oficjalna akcja dyplomatyczna, drugim — była prowadzona akcja Kominternu.

Budowanie państwa, nawet tak różnego od cywilizowanego świata jak Związek Sowietów, musiało pociągnąć za sobą konieczność współżycia z innymi państwami. Wysiłki zaś dla ułożenia tego współżycia nie mogły nie kolidować z jednoczesnym prowadzeniem przez Komintern działalności wywrotowej na terenie często tych właśnie państw, z których Sowiety, dzięki normalizacji stosunków wzajemnych chcą ciągnąć korzyści materialne. To też już w samym założeniu budowania komunizmu na razie tylko w jednym państwie tkwi zalążek konfliktu pomiędzy III Międzynarodówką, której „raison d'etre" jest jaknajszybsze sprowokowanie przewrotu na świecie, a nowym zasadniczym czynnikiem, jaki pojawia się w wyniku powstawania tego państwa, a którym jest — jego r a c j a s t a n u. Stalin reguluje wszelkie rozbieżności wynikające na tle rozwoju nowej państwowości rosyjskiej, której jest budowniczym i ideologią III Międzynarodówki, której jest wodzem.

Punktem wyjścia dla strategii i taktyki tej dwutorowej polityki Sowietów jest obok wszelkich doktrynalnych przesłanek o misji realizowania komunizmu światowego — założenie z powyższych przesłanek wynikające, że świat burżuazyjno kapitalistyczny, zagrożony w swych podstawach ideą komunizmu, dążyć będzie do zniszczenia źródła tej idei — jakim jest ZSRR. Wysiłki Stalina idą więc w kierunku odsuwania groźby interwencji od zewnątrz do czasu, gdy siły gromadzone przez niego będą tak potężne, iż nie tylko wszelka obawa tej interwencji stanie się bezpodstawną, ale on sam będzie mógł podjąć agresję dla realizowania bolszewizmu w świecie. Dysponując dla swych manewrów politycznych dwoma torami Z. S. R. R. prowadzi grę polegającą z jednej strony na łudzeniu poszczególnych mocarstw mirażami wielkich zysków z współpracy politycznej i gospodarczej z Sowietami, z drugiej, na przenikaniu w wielką politykę międzynarodową celem podtrzymywania stanów zaognienia w zwalczających się obozach i blokach.

W okresie bardzo ścisłej współpracy z Niemcami (1924-1933), opartej na traktacie w Rapallo — Sowiety uważają za swego największego wroga Anglię. Przez szereg lat prowadzą więc one intensywną dywersję antyangielską na Środkowym i Dalekim Wschodzie. W tym okresie Stalin jest gorącym zwolennikiem bloku państw rewizjonistycznych i wrogiem Ligi Narodów, która w sowieckim żargonie nazywa się „blokiem kapitalistów", „podżegaczy wojennych" itp.

Objęcie w Niemczech władzy przez Hitlera zmusza Stalina do pozornie radykalnego przestawienia jego polityki zagranicznej. Zmienia więc on swą taktykę dywersji w stosunku do wersalskiego bloku głosząc teraz, że każde naruszenie istniejącego stanu rzeczy i dzisiejszego podziału terytorialnego w Europie jest niedopuszczalne. Staje się protektorem wyszydzanej do niedawna Ligi Narodów, a ideologia zbiorowego bezpieczeństwa służy mu do przygotowania wielkiego planu ofensywnego przeciwko Niemcom pod nazwą Paktu Wschodniego.

O pakcie tym pisze J. Warecki w „Polityce Narodów" (1938):

„W myśl sowieckich nadziei blok obejmujący Polskę, Francję i Czechosłowację „był dostatecznie silnym militarnie, aby w „drodze sprowokowanej przez nie wojny „rozbić Niemcy bez potrzeby bezpośredniego angażowania sił zbrojnych ZSRR. Niezbędnym warunkiem powodzenia tego planu był udział Polski, gdyż poza decydującym udziałem naszej armii, to jedynie gwarantowałoby bezpieczeństwo terenu sowieckiego od kontrataku niemieckiego i pozwoliłoby zredukować udział ZSRR w tej wojnie do pomocy techniczno-materiałowej. Dalsze przewidywania Stalina brały pod uwagę, że klęska militarna Niemiec doprowadziłaby do upadku reżimu hitlerowskiego i takich wstrząsów, które by musiały doprowadzić do władzy komunistów. Wówczas nietknięta armia sowiecka runęłaby poprzez wycieńczoną nawet zwycięskim wysiłkiem zbrojnym Polskę na połączenie się z czerwonymi Niemcami, a zjednoczenie tych dwóch sił komunistycznych przełamałoby już bez większych trudności opór reszty osłabionych wojną państw przeciwko szerzącej się nawale rewolucyjnej. Tak więc rzekomo defensywna polityka Stalinowska w końcowym rezultacie miała doprowadzić do realizacji celu zasadniczego — triumfu komunizmu w skali co najmniej europejskiej".

Rewolucja a racja stanu

Jakkolwiek wzmożona po niedojściu do skutku paktu wschodniego działalność Kominternu oraz krwawa „czystka" w łonie partii, rządu, armii i G. P. U. budziły nieufność, w obliczu jednak narastającej w tempie błyskawicznym groźby agresji ze strony Niemiec, Anglia i Francja na wiosnę roku 1939 raz jeszcze podejmują próbę szczerego rozmówienia się ze Stalinem: polityczno - wojskowe misje udają się do Moskwy, gdzie rozpoczynają z bolszewikami przewlekłe obrady nad zawarciem aliansu militarnego dla ratowania zagrożonego pokoju. Lecz również w tym czasie składają ofertę Niemcy. Kreml stwierdza, że ostrze niemieckiej agresji nie jest skierowane ku niemu, ale przeciwko leżącej mu na drodze Polsce i że on, a nie kto inny, ma zadecydować, czy będzie wojna, czy pokój. Prowadząc ściśle zakonspirowane targi z Niemcami, bolszewicy z angielską i francuską misją bawią się jak kot z myszą wysuwając coraz to nowe nie do przyjęcia żądania, jak — wolnej ręki w Państwach Bałtyckich, swobody przemarszu armii czerwonej przez Polskę itp.

To, czego Anglia i Francja dać Sowietom nie chcą i nie mogą, ofiarowuje im Hitler w zamian za to, by nie przeciwstawiali się wybuchowi wojny. Ofiarowuje znacznie więcej, bo spółkę w podziale Polski, żądając jedynie życzliwej neutralności i pomocy w surowcach, gdyby wojna szersze miała przybrać rozmiary.

Wydaje się niewątpliwym, że na ostateczną decyzję Stalina przesądzającą wojnę długą i krwawą, wpłynęło zawarcie układu o wzajemnej pomocy pomiędzy Polską i Anglią, układu d a j ą c e g o p e w n o ś ć, ż e k o n f l i k t p o l s k o - n i e m i e c k i n i e b ę d z i e k o n f l i k t e m l o k a l n y m, a l e p o c z ą t k i e m w o j n y w s k a l i c o n a j m n i e j e u r o p e j s k i e j, w której to wojnie Sowiety zgodnie z planami strategicznymi Lenina i Stalina będą miały zapewnione stanowisko wyczekujące i możność wyboru chwili dla wkroczenia.

Wypadki nie w całości potoczyły się wytkniętym przez Stalina torem. W rezultacie jednak zwycięskie czerwone zastępy stoją dziś u progu Niemiec. Sny o potędze władców Kremla wydają się bliższe realizacji niż kiedykolwiek. Sowiecka „strefa wpływów" sięga po Łabę, rozwiązanie Kominternu nie przeszkadza w przygotowywaniu sobie terenu i poza tą strefą, szanse na uzyskanie hegemonii na kontynencie są pokaźne. Walcząc z Niemcami polityka sowiecka z nieugiętą konsekwencją realizuje te same cele, do których zmierzała w antyniemieckim okresie przed Rapallo, filoniemieckim od Rapallo do Hitlera, znowu antyniemieckim w latach 1933-39 i w okresie współpracy 1939-41.

Sprzymierzeńcy nasi na Zachodzie wydają się nie doceniać tego zagadnienia. Na ich opinię działa znakomita i wszechstronna propaganda, usiłująca na tle małej na ogół znajomości tych spraw wykazać możliwości pokojowej współpracy z Z.S.R.R. na polu polityki i gospodarki. Oto jej główne argumenty:

1) Rosja przechodzi rzekomo okres odwrotu od haseł marksistowskich i powrotu do normalnych form życia, może nawet do demokracji;

2) osłabienie ogromem poniesionych strat zmusza Z.S.R.R. do pokojowości i współpracy. W szczególności działają tu miraże prawie nieograniczonej chłonności rynków sowieckich.

Te nadzieje, wynikające z nieznajomości tradycyjnej taktyki partnerów, są oczywiście złudne.

Jeszcze na kilka lat przed wojną, w imię racji stanu państwa, które Stalin buduje — decyduje się on na szereg wyłamań na torze ideologii Marksa i kompromisów na rzecz dawnych burżuazyjnych metod a nawet haseł. Tu należy zniesienie „urawniłowki", przywrócenie znaczenia pojęcia ojczyzny i rodziny, powrót do starych metod w szkolnictwie itd.

Ustępstwa te były jednak zawsze tylko taktyką. Swiadczy o tym słynny list Stalina do komsomolca Iwanowa, ogłoszony przez prasę sowiecką w lutym 1938 r. Precyzując w nim raz jeszcze swoją tezę o budowie komunizmu w jednym państwie — autor podkreśla, iż nie oznacza to bynajmniej, by miał się wyrzec forsowania komunizmu na zewnątrz i że definitywny triumf komunizmu może nastąpić jedynie w wyniku obalenia bariery kapitalistycznej otaczającej Z.S.R.R. Tę deklarację Stalin łączy słusznie z koniecznością wzmacniania potencjału militarnego Sowietów.

Dzisiaj zniewala Z. S. R. R. do odstępstw jeszcze poważniejszych — racja zasadnicza, którą jest konieczność galwanizowania sowieckiej armii — zasadniczego elementu w wojnie, którą prowadzi. Realista, jakim jest Stalin, rozumie, że armię tę trzeba podniecać środkami bardziej działającymi na wyobraźnię niż monotonny szablon propagandy partyjnej. Tworzy więc około armii napoleońską legendę. Przyjmuje najwyższy tytuł i stanowisko wojskowe. Przywraca dawne carskie dystynkcje, szyte złotem mundury, ustanawia całkiem nie bolszewickie ordery, stwarza tradycje, restytuuje popów, cerkiewną pompę itp. Tym chwytem taktycznym odnosi korzyść podwójną: nowym duchem ożywia swą armię i — odświeżając wersję o zanikaniu komunizmu w Sowietach na rzecz jakiegoś neo-nacjonalizmu — zyskuje zaufanie własnych sprzymierzeńców.

Polityka sowiecka nie przestaje zapewniać Zachod o swej rzekomej ewolucji i chęci współpracy. Popiera te oświadczenia tak efektownym krokiem jak rozwiązanie Kominternu, mające świadczyć o wyrzeczeniu się chęci ingerowania w wewnętrzne sprawy innych państw.

Przyjrzyjmy się jednak faktom.

W okresie likwidacji Kominternu cała niemal Europa była okupowana przez Hitlera, aktywność więc komunizmu w różnych krajach i kontakty z III Międzynarodówką były zredukowane do minimum. Za to na terenie sprzymierzonych coraz liczniejsze zastępy agentów pod płaszczykiem sowieckich poselstw, konsulatów i misji handlowych o niebywałej obsadzie personalnej prowadzą szeroką i wszechstronną działalność niemal od chwili wybuchu wojny z Niemcami. Ich praca staje się w miarę poprawy sytuacji wojennej Z.S.R.R. coraz szersza, ujawnia też charakter dywersji wobec interesów W. Brytanii i Ameryki tym jawniejszej, im bliższa staje się klęska Hitlera.

Wystarczy tu wskazać ożywioną akcję w krajach muzułmańskich: Egipcie, Palestynie, Iraku, Syrii, panoszenie się w Persji, zabiegi we Francuskiej północnej Afryce; intensywną walkę o opanowanie wpływów we Włoszech; jawne narzucanie komunizmu Jugosławii; nieudaną próbę skomunizowania Grecji; kombinacje z generalskim komitetem niemieckim — to tylko najbardziej znane przykłady. Szczytem cynizmu jest stosunek Kremla do Polski, stanowiący wszakże tylko ogniwo w konsekwentnym dążeniu polityki sowieckiej do opanowania Europy, stanowiącego z kolei etap w drodze do władzy nad światem.

Stalin-Dżugaszwili, twórca własnej doktryny komunistycznej, której realizowania nigdy się nie wyrzeknie, łączy w tym ostatecznym i niezmiennym celu chęć budowania światowego komunizmu ze swoiście pojętą racją stanu rosyjskiego imperium.

Dzisiaj, po rozgromieniu jednego wroga chrześcijańskich i zachodnich ideałów — inna potęga grozi zagładą tym wartościom. Swiat cywilizowany musi zrozumieć, że składając Polskę w ofierze popełniłby nie tylko zbrodnię wobec cywilizacji, ale także i samobójstwo.

JANIS CIRULIS

INFLANTY A MOSKWA

Czego nas uczą wspomnienia historyczne

Najazdy rosyjskie na wschodnią strefę wybrzeża bałtyckiego mają od wieków smutną tradycję. Strefa ta nazywana przez wiele wieków „Liwonią" (Inflantami) nosiła potem, w ciągu XIX w., miano „prowincji bałtyckich", a wreszcie w XX w. otrzymała nazwę „państw" lub — jak teraz mówią ludzie bardziej ostrożni i „realiści" — nazwę „krajów bałtyckich". Obecnie są tam trzy państwa, ale pojęcie „Liwonii" obejmuje tylko dwa (Łotwę i Estonię), gdyż Litwa aż do nieszczęsnej daty 1795 roku (trzeci rozbiór Polski - Litwy) miała dość odmienne losy historyczne.

Niedawno w jednej z audycji radiowych z Nowego Jorku mówiono o nieszczęsnej sytuacji geograficznej Finlandii. Otóż z jeszcze większą słusznością można by mówić o tragicznej lub co najmniej dramatycznej sytuacji geograficznej strefy wybrzeża bałtyckiego. Strefa ta odczuwa na swym życiu, nawet na swym bycie olbrzymi ciężar kontynentu, któremu opiera się dzięki siłom wewnętrznym oraz tym siłom, które przechodzą przez Bałtyk. Jak pięknie powiedział jeden z geografów francuskich, jest to strefa, w której od wieków toczy się nieubłagana walka między geografią a historią.

Zwłaszcza dla ludzi zajmujących się polityką i dziennikarstwem, więc dobrze oswojonych z mapą Europy ustaloną według koncepcji powstałych w kołach kongresu wiedeńskiego — dla których, używając zwrotu słowianofilów rosyjskich, Polska była tylko marnotrawnym synem wielkiej idei panslawistycznej lub raczej panrosyjskiej, a prowincje bałtyckie były tylko zwykłymi prowincjami kresowymi u rubieży imperium rosyjskiego, nad morzem mającym stanowić naturalną granicę tego imperium — dla tych ludzi pożytecznym będzie podkreślić, że tego rodzaju koncepcja jest stosunkowo świeżej daty. Prawdziwe bowiem geograficzne i historyczne znaczenie Bałtyku było i będzie — tak się nam wydaje — znaczeniem ośrodka emancji twórczych sił gospodarczych, politycznych i kulturalnych, ośrodka, który przyciągnął do siebie różne inne odcinki swego wybrzeża, nawet najbardziej zagrożone i sporne. Kto upiera się, aby spraw całego północno - wschodniego odcinka Europy nie traktować pod tym kątem widzenia, ten bierze na siebie ryzyko, że niewiele rozumie z jego złożonej i obfitującej w przemiany historii, że nie zdoła wyrobić sobie jasnych pojęć o charakterze utajonych sił wewnętrznych tych obszarów, sił, które zresztą są motorami historii tej części Europy.

Prehistorycy i historycy twierdzą, że wielka fala Słowian wschodnich, którzy po wielu wiekach nazwą się Rosjanami, zapoczątkowana wkrótce po epoce wędrówki ludów, posuwając się w kierunku wschodnim i północno - wschodnim, (gdy fala od południowego-wschodu została zablokowana przez koczowników pochodzenia azjatyckiego na stepach Rosji południowej) miała zatrzymać się około VIII w. po Chrystusie, mniej więcej na granicy dzisiejszej Łotwy i Estonii. Ta granica etniczna, wbrew różnym dokonywanym na tym wybrzeżu przemianom politycznym, zachowała się, jak to widać, aż do naszych dni, to jest przez okres liczący ponad tysiąc lat. Przetrwała ona przez wieki niepodległości państw rejonu bałtyckiego, przez okres panowania zakonu teutońskiego (Krzyżaków), przez panowanie Litwinów, Polaków, Szwedów, a nawet okupację rosyjską. (Estonia i Łotwa północna od r. 1710 a raczej 1729 r., Letgalia polska od 1772 r. i Kurlandia od 1795 r.).

Pierwsza skierowana na wybrzeża Bałtyku wielka, tzn. zorganizowana dla celów o rozległym zakresie, nawała Moskwy (po wyjściu jej z okresu chaosu i feudalnego rozdrobnienia jak również spod jarzma tatarskiego) nastąpiła w ciągu panowania Iwana Groźnego. On to pierwszy chciał — zresztą bez szans — „otworzyć okno" na wolne morze i jego to armie, a raczej jeszcze hordy, dokonują kilkakrotnie najazdu na Liwonię między rokiem 1558 a 1582. Wojny te, nazwane liwońskimi (inflanckimi), powodują upadek zakonu, interwencję Litwinów, a potem Polaków i ostateczny pojedynek — i to jaki pojedynek — między Stefanem Batorym i tyranem moskiewskim. Zródła historyczne obfitują w opisy najazdu Rosjan na Liwonię i gdy się czyta te opisy, ma się wrażenie, iż stronice jęczą pod ciężarem słów wyliczających przeróżne rzekomo ludzkie „wyczyny". Zabici są zabitymi (i to jak nieraz!), a oto żywi ciągną na wschód, co prawda jeszcze nie na Syberię, (która była zbyt świeżym nabytkiem). Pewien dyplomata duński w drodze powrotnej do Moskwy spotkał ich: — „Byliśmy w Nowogrodzie — pisze on — przyprowadzono wielki tłum wziętych do niewoli Liwończyków, ponad tysiąc ludzi, starych i młodych, mężczyzn i kobiet (po drodze sprzedawano część w niewolę). Ci biedni ludzie byli do tego stopnia brudni, nadzy lub odziani w łachmany, że pochodem swym wzbudzili w nas, wierzcie nam, najgłębsze współczucie" (J. Ulfeld).

Wspomnienie tej pierwszej próby moskiewskiej przebicia sobie drogi do Bałtyku na długo pozostało w duszach zgnębionych Liwończyków. „Drżą, gdy słyszą słowo Moskal" — pisze jeden z humanistów tego kraju.

Następna próba — obok jeszcze wojen polsko - szwedzkich w końcu XVI w., które doprowadzają kraj do takiej nędzy, że „nie słychać było piania koguta, lub szczekania psa na przestrzeni 100 km na północ od Rygi", jak pisze pewien ówczesny podróżnik — została podjęta przez cara Aleksicja (1656 r.). Również i ten car dokonał smutnych wyczynów godnych swego narodu. Dotarł aż do Rygi, idąc biegiem Dźwiny (Daugawa — Duena — ileż to nazw ma ta rzeka), ale dzięki oporowi sił — zwłaszcza szwedzkich — nawała ta stała się tylko krótkotrwałym epizodem.

Wybiła fatalna godzina dla Liwonii, wówczas jeszcze bez Kurlandii, gdy sojusz duńsko-polsko-rosyjski zdołał po długich latach wojny północnej obalić supremację Szwecji. Aż do roku 1710 (zajęcie Rygi) wojna szalejąc, zwłaszcza na ziemi łotewskiej. Kraj zostaje zupełnie zrujnowany przez dżumę i głód. Wtedy to naczelny dowódca wojsk rosyjskich Szeremietiew melduje swemu panu, carowi Piotrowi, że „w tym kraju nie ma już nic więcej do zniszczenia". „Dixit et animam levavit" („Powiedział i odszedł"). Dzieło zdobywcze cara zostaje uzupełnione przez Katarzynę Wielką, która podczas rozbiorów Polski zagarnia m. in. polską Liwonię (1772 r.) i Kurlandię (1795 r.). Odtąd nie jest to już okno na świat, ale cała brama.

Wojny napoleońskie sprowadzają na kraj Łotyszów bitwy o drugorzędnym znaczeniu w Kurlandii środkowej oraz bitwy przeprowadzone dla osłony lewego skrzydła Wielkiej Armii w pochodzie na Moskwę (marszałek Macdonald). Wszystko to kończy się bardzo szybko, jak sny o wolności Polaków w okresie Księstwa Warszawskiego. I oto wybrzeże bałtyckie stało się prowincjami bałtyckimi, tzn. granicą imperium rosyjskiego, które już w r. 1809 zagarnęło również Finlandię zostawiając jej jednak pewną autonomię. Któż odważy się dotknąć Rosji — duszy i pioniera Swiętego Przymierza? Jeżeli nie ma się możności, aby myśleć o wolności politycznej na wybrzeżach Bałtyku, któż odtąd będzie mógł myśleć o Morzu Bałtyckim jako o elemencie geografii ludzkiej, gdzie dumą narodowa ma swą cenę. A jednak wiek XIX, który odczuł na sobie ponury cień Metternicha skończył się nieobliczalnym wybuchem sił narodowych i socjalistycznych: Europa nie tylko wzbogaci się o zwiększoną liczbę państw, zwłaszcza na Bałkanach, ale jej ustrój społeczny dozna głębokiego i fatalnego pęknięcia między burżuazją, panią tego wieku, a przyszłym „czwartym stanem", proletariatem. Europa wielkich konfliktów politycznych i społecznych, zwanych w nomenklaturze marksistowskiej imperialistycznymi, nadeszła.

Pierwsza wojna światowa sprowadza na kraj Łotyszów niezliczone próby (znacznie mniej doświadcza Estończyków i Litwinów), między innymi ewakuację na rozkaz wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza około 200 tys. ludzi modo russo (na sposób rosyjski) z Kurlandii w r. 1915. A potem — jak nam mówią statystyki — wieluż było tych, którzy powrócili, aby ujrzeć swe domostwa zrujnowane. Ale wolny naród, zwłaszcza jeżeli przeszedł tak twardą szkołę, umie robić cuda. Wiadomo: na początku wyrażano wiele mądrych wątpliwości co do możliwości bytu państw Bałtyckich (przede wszystkim zagadnienia ekonomiczne, potem zagadnienia narodowe itd. itd.). Po 20 latach pozostała tylko jedna wątpliwość, ale ta już z rzędu „metahistorycznych": Co do ich całości geograficznej i demograficznej. Reszta zniknęła i wielu uczciwych obserwatorów uznało, że w tych okolicach dokonano wysiłku jedynego w swoim rodzaju.

Druga wojna światowa wszystko to przewróciła i biedne wybrzeże bałtyckie staje się jedną ze sfer wojennych najbardziej wydeptanych nieubłaganie i bez skrupułów. A w tym wszystkim jest „pewna drażliwa nuta" — aspiracje moskiewskie w stosunku do krajów bałtyckich z ukrytymi myślami zaprzeczanymi mniej lub więcej oficjalnie, lecz prawdopodobnie bardzo rzeczywistymi, które każą traktować zagadnienie trzech państw jako bardzo poważne, a nawet groźne (projekty deportacji masowej i ponownego zaludnienia krajów ludami z rejonów kaspijskich lub syberyjskich itp.). Iwan Groźny i Piotr Wielki stają się pod tym względem pionierami bez pogłębionej metody i ze zbyt wielkimi względami dla indywidualnego charakteru tych państw. Niebezpieczeństwo jest wielkie, ale zresztą nie jest to pierwszy wypadek, w którym Bałtowie przeżywają bardzo krytyczne chwile.

Wnioski? granica etniczna pozostała wciąż tam, gdzie była mniej więcej 1200 lat temu. Uderzająca w oczy różnica poziomu życia, poziomu cywilizacji daje jak zawsze jasne dowody, że to wybrzeże chce być i pozostać twórczym i czynnym ośrodkiem, a nie kresami kontynentu. Co prawda wyczuwa się — jakże mogłoby to być inaczej — infiltrację sił z kontynentu: antropologowie opowiadają na przykład, że wzrost ludzi zmniejsza się stopniowo na Litwie ku wschodowi, co ma oznaczać, że rasa nordycka ulega tam wpływom somatycznym (cielesnym) ras brachycephalicznych (krótkogłowych). Lingwiści ze swej strony donoszą nam o obecności pewnego zasobu leksyjnego z języka rosyjskiego. Ale, jeżeli w tak długim okresie czasu stwierdza się tylko zjawiska tego rodzaju, pozostaje oczywiście w mocy odwieczna formuła oporu etnicznego i kulturalnego. Jeszcze raz historia walczy zażarcie z geografią i nie widać powodów o charakterze siły wyższej, dlaczego by tym razem miała ulec w tej tysiącletniej, odwiecznej walce.

Pomnik Wolności w Rydze

ADAM MICKIEWICZ

* * *

... Biada nam, zbiegi, żeśmy w czas morowy
Lękliwe nieśli za granicę głowy!
Bo gdzie stąpili, szła przed nimi trwoga,
W każdym sąsiedzie znajdowali wroga,
Aż nas objęto w ciasny krąg łańcucha,
I każą oddać co najprędzej ducha.

A gdy na żale ten świat nie ma ucha,
Gdy ich co chwila nowina przeraża,
Bijąca z Polski jak dzwon ze smętarza,
Gdy im prędkiego zgonu życzą straże,
Wrogi ich wabią zdala jak grabarze!
Gdy w niebie nawet nadziei nie widzą!
Nie dziw, że ludzi, świat, siebie ohydzą,
Że utraciwszy rozum w mękach długich,
Plwają na siebie i żrą jedni drugich.

Z epilogu „Pana Tadeusza" (1834)

Najlepszym prezentem dla znajomych czy krewnych jest

Kalendarzyk żołnierski na rok 1944

który jest do nabycia w Redakcji Czasopism i Wyd. Wojsk.

■

Redakcja Czasopism i Wydawnictw Wojskowych kupi lub wypożyczy:

Komplety: „Prosto z mostu"
„ „Biuletynu Polsko Ukraińskiego"
wiersze C. K. Norwida, Konstantego I. Gałczyńskiego
książki: Morcinka: „Wyrąbany chodnik"
Kolankowskiego: „Polska Jagiellonów"

Nakładem Oddziału Propagandy i Kultury Armii Polskiej na Wschodzie ukazał się

w języku ukraińskim

Modlitewnik dla greko-katolików

Modlitewnik jest do nabycia w cenie 100 lirów w referatach Propagandy i Kultury oraz u księży kapelanów

MICHAŁ CIOŁEK

RATOWANIE BIOLOGICZNEJ SUBSTANCJI NARODU

Coraz nowe argumenty wysuwane są na rzecz polityki rezygnacji. Czepiają się ich ludzie o słabych charakterach, by wobec siebie samych i wobec innych usprawiedliwić bierność, zdanie się na cudzą wolę, szukanie dróg mniejszego oporu, choćby prowadziły „Z nikąd do nigdzie" według celnego określenia Beaty Obertyńskiej. Ostatnio takim właśnie płaszczem dla okrycia nagiej hańby rezygnacji stała się potrzeba „ratowania biologicznych podstaw narodu".

„To nie sztuka — powiadają zwolennicy, czy raczej użytkownicy tego poglądu — siedząc zdala od kraju, wygodnie i bezpiecznie, rzucać demagogiczne, pięknie brzmiące hasła romantyzmu, zyskiwać popularność, nimb nieugiętości i bohaterstwa, za które się nie ponosi odpowiedzialności. Tymczasem rzeczywistość jest taka, że połowa Polski jest już w rękach Rosji, opanowanie drugiej połowy jest tylko sprawą czasu. Co więcej, Rosja jest jedyną realną siłą w tej części Europy. Jeżeli będziemy jej wrogami, jakże się dziwić, że i ona będzie naszym wrogiem? Dla własnego bezpieczeństwa poprowadzi politykę wyludnienia Polski, zapoczątkowaną tak skutecznie w 1939 i 1940 r. Wobec tej grozy nie mamy wyboru: trzeba starać się o przyjaźń i zaufanie potężnego sąsiada, choćby kosztem najcięższych ofiar politycznych. Gdy zachowamy naród — może dlań kiedyś przyjdą lepsze czasy. Skoro zbraknie narodu — nic nam już w przyszłości nie pomoże."

Pogląd tak lub podobnie ujęty zaleca się pozorną oczywistością i prostotą. Przy bliższym dopiero przyjrzeniu się wychodzi na jaw jego fałszywość.

Naród, który dochodzi do przekonania, że biologiczne utrzymanie się przy życiu, wegetacja, jest jego najwyższym celem — już się skazał na zagładę. Starożytny Babilon, Asyria, później cesarstwo rzymskie nie tylko upadły, ale ich narody znikły z oblicza świata, gdy utraciły gotowość do wysiłku dla osiągania zamierzonych celów bez względu na koszty, gdy przestały dążyć do czegokolwiek poza wegetacją i dobrobytem. Podobny pogląd zapanował w Polsce za Sasów — zapłaciliśmy zań niewolą pięciu pokoleń. Naród nie zginął dzięki temu, że w niewoli odrzucił owe zgubne hasło „konserwowania się", że się odrodził, że w czas jeszcze podjął na nowo swą misję. Nie mając nawet państwa nie żałował życia swych obywateli, by walczyć o urzeczywistnienie swego zamiaru życia państwowego. Gdyby ideałem Polaków w niewoli było przetrwanie, mogli je byli najłatwiej osiągnąć stając się Rosjanami lub Niemcami. Od zawołania: „ratuj się, kto może" do zaniku narodu — jeden krok tylko.

Rzecz to wiadoma, że być Polakiem nie jest łatwo. Nasze położenie geopolityczne jest bodaj najtrudniejsze w świecie. Każde pokolenie ciężko się krwawi, a ileż razy kraj był pustoszony „ogniem i mieczem". Czyż nie łatwiej, nie bezpieczniej było rozpłynąć się po sąsiednich narodach? A jednak po tysiącu lat walk i ofiar naród nie tylko nie zginął, ale właśnie udowadnia światu, że jest wciąż narodem wielkim. Ta sama wielkość, która spowodowała, że dumni niemieccy osadnicy, sprowadzeni na wyludnione przez Tatarów obszary „barbarzyńskiej" Polski, wyosobniający się za murem swego magdeburskiego prawa, ulegli doszczętnemu spolszczeniu, każe dziś odmawiać zapisania się do „Volksdeutschów", przy pełnej świadomości, czym grozi odmowa.

■

Nie podajemy w wątpliwość konieczności chronienia życia każdego obywatela i całego narodu, ale nie ponad wszystko, tylko do granic, poza którymi zachowana przy życiu grupa ludzi traci wartość narodu. To zaś nie jest tylko sprawa arytmetyki. Naród bardzo nawet poszczerbiony, ale mocny tym, że się nie ugiął, gdy inni się gięli, nie odstąpił od zasad, które uznał za słuszne, nie wyrzekł się własnej suwerennej woli, choć pozornie brakło szans jej realizowania — taki naród nie może zginąć, zawsze się odrodzi, stanie się ośrodkiem ciążenia dla innych. Liczniejsza nawet ludność, pogodzona z obcą władzą, to już tylko grupa etniczna, nie mająca pewności przeżycia ponad jedno pokolenie.

Nie będąc więc zwolennikami niepotrzebnych ofiar i szafowania życiem ludzkim, nie możemy się również zgodzić na stawianie oszczędności życia ponad wszelkie inne cele. Taka bowiem oszczędność byłaby marnotrawstwem. Jak człowiek, który zachowanie własnego życia stawia ponad wszystkie inne cele, odbiera swemu życiu wartość, a więc wbrew pozorom popełnia akt samozniszczenia, podobnie grupa ludzka wchodzi na drogę zaguby, jeśli na czoło swych dążeń wysuwa zachowanie życia swych członków.

Przyznać należy, że wiele narodów w obliczu ogromu ofiar wojny wybrało tę właśnie politykę zachowania przede wszystkim życia ludności. Nie poszła po tej drodze wierna swej tradycji Polska, bohaterska Finlandia, do czasu klęski militarnej — Grecja, przeważna część ludności Jugosławii...

■

Przypuśćmy wbrew powyższym wywodom, że nasza polityka oporu była błędna, że zachowanie życia największej możliwie liczby obywateli, które normalnie nie może być jedynym albo naczelnym celem polityki, było jednak przejściowo słusznym za-

Dzieci polskie po przyjeździe do Iranu

łożeniem wobec wyjątkowego zagrożenia. Tak chyba rozumują ci, którzy dziś przyklaskują zamiarom p. Mikołajczyka pójścia śladami Hachy czy Quislinga, w odniesieniu jedynie do innego sąsiada.

Położenie Polski w 1939 r. przed dniem 23 sierpnia (rosyjsko-niemiecki pakt nieagresji — wstęp do wspólnej agresji) było o tyle podobne do położenia Czech w marcu tegoż roku, że ci, którzy uważają za słuszną metodę rozumowania prowadzącą do usprawiedliwienia Hachy lub nawet wywindowania go na bohatera, powinni logicznie potępić nasz opór przeciw zakusom Hitlera i pakt sojuszu z W. Brytanią. Powinni uznać za szaleństwo postawę narodu pod okupacją, postawę, za którą zapłaciliśmy i płacimy olbrzymią cenę.

Przypuśćmy jednak dalej, że p. Mikołajczykowi nie dane było odegrać roli Quislinga w kraju, choćby dlatego, że tam nie był i nie miał władzy. Nie obciążajmy go tedy przeszłością, rozważmy teraźniejszość i przyszłość.

Chwila, w której proponuje się Polsce przejście z tradycyjnej polityki heroicznej na „ratowanie biologicznej substancji" różni się zasadniczo od wiosny 1939 r., gdy pobierały sprzeczne decyzje rządy polski i czeski. Wówczas miało się do czynienia z jednym zaborcą i jedną potęgą zagrażającą wyniszczeniem narodu; dziś w Polsce naród jest zagrożony przez dwóch zaborców, pozostających ze sobą w wojnie. Wszelka ugoda z jednym może być uważana za zwróconą przeciw drugiemu, a więc nie daje pewności, ani nawet prawdopodobieństwa ustania wobec nas polityki eksterminacyjnej. Zwłaszcza, gdy jeszcze przed uzyskaniem ugody, tylko dla zamanifestowania po raz tysiączny naszej jednostronnej „dobrej woli" nasz rząd idzie na tak niesłychanie kosztowne i sprzeczne z zasadą zachowania narodu eksperymenty, jak wywoływanie powstań w kolejnych okręgach na rzecz jednego z zaborców, który nota bene nie przyjmuje ich nawet za dobrą monetę, ale stosuje taką politykę, jakby powstania były skierowane przeciw niemu. Koroną tego jest poświęcenie stolicy wraz z jej milionową ludnością.

Uważamy Hachę i Quislinga za zdrajców, nie za bohaterów, ale przyznajemy, że ich postępowanie oszczędziło wiele krwi, niestety kosztem wyższych wartości. Istotą polityki naszych zwolenników Hachy jest, że kosztem niemniejszych, a nawet większych ofiar politycznych — oszczędzenia narodu nie osięgają. Nie tylko dlatego, że mamy dwóch zaborców i że rząd p. Mikołajczyka dla dogodzenia jednemu z nich gotów jest prowadzić wobec drugiego politykę zgoła sprzeczną z zasadą oszczędzenia narodowi ofiar. Również dlatego, że polityka, która i wobec Niemców nie mogła być w Polsce tak skuteczna, jak była w Czechach, jest całkowicie bezskuteczna wobec Rosji.

Nie trudno zrozumieć, dlaczego. Niemcy mogli się spodziewać, że czeska rezygnacja jest wprawdzie wymuszona, jednak szczera. Naród, który będąc uzbrojony nie stawiał niemal żadnego oporu zaborcom, stał się tym mniej groźny po rozbrojeniu. Można było liczyć, że pomimo oderwanych aktów sabotażu lub biernego oporu, siła robocza tego gospodarnego narodu da okupantom korzyści o wiele większe od strat. Podobnie rozumowano w innych krajach quislingowskich. Ale Polska nie przypadkiem nie dostarczyła quislinga. W polskiej tysiącletniej tradycji leży walka do upadłego o wolność. Sąsiedzi o tym wiedzą, a gdyby nie wiedzieli, musiała ich o tym przekonać postawa narodu we Wrześniu i potem. Dlatego nawet gdyby w Polsce utworzono rządy quislingowskie, represje przeciw inteligencji oraz wszelkim czynniejszym żywiołom byłyby w każdym razie o wiele szersze niż były w tamtych krajach. Polska ze swym szaleńczym umiłowaniem wolności i „romantyzmem" stanowi rzeczywiste niebezpieczeństwo dla wszystkich, którzy chcą Europę zakuć w kajdany. Dlatego rezygnacja, ugodowość Polaków, o ile się zdarza, jest zawsze podejrzanego stempla. Nie było trzeba tworzyć specjalnych systemów politycznych dla uniknięcia rewolty Czechów. Trzeba było budować Święte Przymierze, by utrzymać w karbach Polaków.

O ile jednak represje niemieckie w wypadku mniej opornej postawy naszego społeczeństwa mogły być bądź co bądź mniejsze, o tyle nie ma najmniejszego powodu mniemać, że polityka ludnościowa Związku Sowieckiego doznać może odchyleń wskutek naszej mniejszej lub większej uległości. Wszystkie doświadczenia aż po dzień dzisiejszy wskazują, że polityka ta jest nieugięcie konsekwentna i jak najdalsza od powodowania się sentymentem. We wrześniu 1939 r. wkraczająca niespodzianie w nasze granice armia czerwona napotkała stosunkowo słaby opór zaskoczonych i jednocześnie walczących z przygniatającą przewagą niemiecką oddziałów polskich. Po okupacji wschodniej połowy Polski terror uniemożliwił wszelkie próby odruchów ludności przeciw zaborcy. Rząd sowiecki twierdzi, że jego wojska spotykały się z entuzjazmem ludności i że ludność „dobrowolnie" oświadczyła się za przyłączeniem połowy Polski do Z.S.R.R. Gdzież więc powód do represji? Toteż represji właściwie nie było. Ale było wywiezienie w znanych warunkach dwóch milionów osób (na początek), była Kałyma i był Katyń. Nie żadna represja, ale konsekwentna, bezwzględna polityka ludnościowa.

Polityka ta służy oczywiście rosyjskiej racji stanu. Nie do nas należy jej kształtowanie. Możemy jedynie stwierdzić fakt, że Rosja od wieków widzi swą rację stanu we wdzieraniu się coraz dalszym w serce Europy, ku zachodowi. Wszystko, co leży na drodze, co może przeszkadzać w tym pochodzie — musi być usunięte.

■

Gdy więc mówią nam przyjaciele z tej i tamtej strony oceanu: musicie zdobyć zaufanie Rosji, bo od niej zależy wasz los — pytamy ze swej strony: o jakie to zaufanie chodzi? Czy o zaufanie, że lojalnie dotrzymujemy układów, że nie szukamy sąsiedzkich sporów, nie dybiemy na cudzą ziemię? Na takie zaufanie zasłużyliśmy ofiarami kompromisu ryskiego i upartym dążeniem do poprawy sąsiedzkich stosunków wbrew szykanom drugiej strony, sabotowaniu niektórych klauzul traktatu (odszkodowania), dywersji, antypolskiej propagandzie, niechęci współpracy gospodarczej. Wyniki: Z.S.R.R. uznał, że dla zabezpieczenia swych interesów musi złamać zobowiązania, najechać nasze ziemie i przystąpić do wysiedlania ludności. Może to był jednorazowy „ześlizg" sowieckiej polityki, który się nie powtórzy? Nie, ze strony sowieckiej nie padła w tej sprawie nawet żadna obietnica, przeciwnie, polityka zaboru jest oficjalnie uznana za słuszną i kontynuowana. Jest zresztą zupełnie logiczna.

Nie wystarczy więc zaufanie do braku z naszej strony zamiarów zaczepnych. Sowiecka polityka ludnościowa opiera się bowiem na braku zaufania, że nie będziemy się bronili, że chętnie z entuzjazmem i bez reszty roztopimy się w rosyjskim morzu, tylko bowiem w ten sposób Rosja znajdzie się bliżej Europy.

Takiego jednak zaufania nie wzbudzi na Kremlu ani p. Mikołajczyk, ani p. Osupko-Morawski, ani nawet poważne żyro z nad Tamizy. Po prostu: na takie zaufanie nie zasługujemy. I to już nie jest różnica poglądów politycznych, to nie zależy od tego czy uznamy „zachowanie biologicznej substancji narodu" za cel najważniejszy, czy inaczej ułożymy sobie hierarchię celów. Jak świadczy polityka sowiecka, tego rodzaju zaufania nie udzielono ani Ukraińcom, ani Białorusinom, ani Finom, ani Estończykom, ani Łotyszom, ani Litwinom. Ani jeden naród leżący w pobliżu zachodniej granicy Z.S.R.R. na takie zaufanie nie zasłużył, ani jednemu też nie udało się, nie mogło się udać wywołanie zmian w sowieckiej polityce ludnościowej na korzyść „zachowania biologicznej substancji" tego czy innego narodu. A bądźmy szczerzy: czy wolno nam krzywdzić polityków sowieckich posądzeniem o taką naiwność, iż uznają oni naród polski za mniej niebezpieczną przeszkodę na drodze ekspansji ku zachodowi niż skromny liczbą naród łotewski?

Wniosek z tych wywodów jest prosty: dążenie do zachowania „biologicznej substancji narodu" nie usprawiedliwia w najmniejszym nawet stopniu polityki rezygnacji z polskich celów politycznych, ponieważ zachowanie przy życiu naszego narodu jest sprzeczne z celami obcej potęgi, na rzecz której nasz rząd uprawia politykę uległości.

Mamy w kraju dzieci, żony, rodziców, rodzeństwo, przyjaciół. Drżymy o ich życie. Skoczylibyśmy do oczu każdemu, kto posądziłby nas o obojętność dla ich losu. Ale wiemy, że bezpieczeństwo mogą uzyskać jedynie w wolnej Polsce. Gdzie nie będzie ani S.S., ani N.K.W.D. O taką Polskę walczymy. I nie możemy zgodzić się na to, by kombinacje z tymi, którzy właśnie istnieniu naszego narodu i życiu naszych najbliższych zagrażają, kombinacje mające uniemożliwić już nawet walkę o prawdziwie wolną Polskę, osłaniano płaszczykiem rzekomej troski o zachowanie narodu. Już tylko okolicznością obciążającą jest fakt, że czynią to ci, którzy równocześnie narażają naród na najbardziej dotkliwe straty, tym boleśniejsze, że nie służące polskiej racji stanu.

Linia „Gotów" w Apeninach (do „Tygodniowego przeglądu wydarzeń" na str. 6)

WARSZAWA—QUEBEC

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

Spotkanie prezydenta Roosevelta i premiera Churchilla w Quebec nastąpiło w chwili decydującej dla świata i Europy. Po jednym z najwspanialszych wyczynów wojennych, jakim było podbicie Francji od strony mórz, wojska amerykańskie i brytyjskie oraz walczące obok nich wojska francuskie, polskie, belgijskie i holenderskie zajęły w ciągu 3 miesięcy pięć szóstych Francji, niemal całą Belgię, cały Luksemburg i stanęły na ziemi niemieckiej. Osiągnięcie to zaćmiewa wszystko, co widziano dotychczas w tej wojnie na różnych jej frontach.

Wspaniałym tym zwycięstwom militarnym nie towarzyszyły wszakże jasne i wyraźne sukcesy polityczne. W tej dziedzinie horyzont nadal jest zmącony. Rządy francuski, belgijski i luksemburski wróciły już do swych stolic. Nie jest jednak tajemnicą, że natrafiają one na ogromne trudności w opanowaniu chaosu finansowo-aprowizacyjnego, pozostawionego przez okupantów. Uwolnione kraje chciałyby jak najszybciej wyjść ze stanu tymczasowości — którą już wykorzystywują czynniki wywrotowe — by zacząć budować nowy porządek od początku, do prawda, ale na mocnych podstawach.

Tymczasem stan niepewności zawisnął nad całą Europą. Cięży on nad Włochami, mimo że rok już mija od zerwania ich z Niemcami. Nikt nie wie, jaki ostatecznie plan polityczny przewidziany jest dla Niemiec, które niebawem zaczną przechodzić pod okupację aliantów. Jeszcze niewyraźniej, by nie powiedzieć wręcz ponuro, rysuje się przyszłość Europy wschodniej, albowiem jej los pozostawiono bądź przypadkowi, bądź arbitralnej decyzji jednego z aliantów. Wypadek z Bułgarią, o którym piszemy poniżej, był nowym dowodem nieuregulowania z góry spraw z natury rzeczy tak zawiłych i drażliwych, jakimi są zagadnienia bałkańskie.

Szczególnie wszakże groźne światło na sytuację wytworzoną w Europie środkowej rzuciły łuny niszczonej i palonej na oczach świata Warszawy, która stała się tragicznym symbolem nie tylko losów Polski, lecz wszystkich narodów środkowo - europejskich. Narody te bądź walcząc od pierwszej chwili przeciw Niemcom, bądź opanowane przez rządy uległe Rzeszy, stawiają sobie dziś tragiczne pytanie, czy istotnie godzina upadku Hitlera będzie dla nich godziną wyzwolenia? Czy wołanie ich o wolność będzie potraktowane tak, jak nieustanne apele Warszawy o pomoc, apele, które sama stolica nazwała „głosem wołającego na puszczy".

Rodzą się też dalsze pytania. Czy wielka ta strefa europejska, bogata w mnożącą się ludność oraz w różne zasoby, uznana będzie za prawowitą część kontynentu, godną życia w wolności? Czy istotnie między Europą zachodnią, nadatlantycką i śródziemnomorską a Europą środkowo-wschodnią wytworzy się jaskrawa różnica w ich położeniu i traktowaniu? Czy kraje zachodnio-europejskie będą rządzone przez swe rządy legalne, a wschodnie przez rządy narzucone? Czy tu działać będą UNRRA, różne komisje anglo-amerykańskie, a tam nie? Czy kraje zachodnie będą natychmiast wciągnięte w krąg światowych obrotów gospodarczych, a tamte nie? Czy tu wytworzy się współdziałanie wszystkich aliantów, a tam istnieć będzie wola jednego tylko czynnika, działającego jak okupant?

Pytania te są jak najbardziej życiowe. Nie są one wyrazem tylko poczucia sprawiedliwości, ale przede wszystkim potrzeb politycznych. Europa, w której narody środkowo-wschodnie nie będą jednym z niezależnych współczynników równowagi, stanie się formacją politycznie rozbitą, a europejska, wyodrębniona strefa atlantycka zacznie odgrywać w niej rolę co najwyżej zagrożonego stale przyczółka i wysuniętej pozycji na kontynencie, którego przyszłości grozić będą nowe komplikacje i niebezpieczeństwo nowych wojen.

Konferencja w Quebec winna rozważyć wszystkie te zagadnienia. Narady w Kanadzie poświęcone są podobno głównie sprawom wojny z Japonią. Dlatego marsz. Stalin, utrzymujący z Tokio przyjazne stosunki, w nich nie uczestniczy. Ale również sprawa dalszej wojny z Niemcami będzie tam rozważana. W prasie ukazały się wiadomości, że trzy zwłaszcza zagadnienia będą w Quebec rozstrzygane: 1) ustalenie charakteru okupacyjnego zarządu wojskowego w Niemczech natychmiast po załamaniu się oporu niemieckiego; 2) plan rządów w Europie w okresie między zwycięstwem a ostatecznym wprowadzeniem trwałego systemu bezpieczeństwa i pokoju w oparciu o uchwały konferencji w Dumbarton Oaks; 3) zagadnienia ekonomiczne, które staną przed krajami zniszczonymi wskutek działań wojennych.

Poruszając kolejno wszystkie te trzy zagadnienia nie będzie można pominąć spraw polskich. Zapewne częściowo wskutek naszej winy wytworzyło się w świecie mniemanie, że zagadnienie polskie jest dostatecznie drobne, by je można pozostawić bądź na los szczęścia, bądź pomijać je milczeniem, jak to uczyniła sławetna konferencja moskiewska w roku zeszłym. Wypadki rozwiały jednak owe złudzenia ludzi bądź lękliwych, bądź kierujących się wygodnie tym, co Anglicy nazywają „wishful thinking", a my Polacy określamy często „jakoś to będzie". Naród polski jest istotnie zbyt wielki, zbyt świadomy swej roli w Europie, zbyt zdeterminowany w dążeniu do wolności całkowitej, by można było sprawy jego załatwiać gładkimi formułkami dyplomatycznymi bez jego nota bene udziału, a tym bardziej narzucać mu decyzję gdzieś przez kogoś w jego sprawach powziętą. Metoda ta zaszkodziła nie tylko Polsce, ale sprawie sprzymierzonych i doprowadziła do obecnego kryzysu.

Warszawa mogła być niespodzianką tylko dla tych, którzy nie doceniają sił żywotnych narodu polskiego. Dziś też nie ustając w nierównym heroicznym boju, apeluje do uczestników zjazdu w Quebec przede wszystkim Warszawa. Apeluje nie o litość i o akcję charytatywną, ale o uczciwe potraktowanie spraw tego państwa, którego jest stolicą. Miejmy nadzieję, że wiadomość o nowej pomocy lotniczej wysłanej z baz włoskich dla Warszawy będzie zapowiedzią oczekiwanej tak długo zmiany stanowiska w obozie sprzymierzonych wobec konkretnych politycznych postulatów Polski, kraju, który w roku 1939 stanowił wyjątek w gotowości oparcia się Niemcom, umożliwiając przez swe wystąpienie zorganizowanie przeciw nim wielkiej, dziś zwyciężającej koalicji. Czy dlatego jednak kraj ten ma być traktowany dziś gorzej od Francji, Belgii, Luksemburgu, gorzej nawet od Włoch, a narówni z Rumunią i Bułgarią? Arcybiskup Quebec' u kardynał Villeneuve wydał z racji zwołania konferencji w tym mieście list pasterski, w którym zwracał uwagę w pięknych słowach na los Warszawy i domagał się „przywrócenia Polsce jej wolności i niepodległości oraz całkowitej integralności terytorialnej".

Wraz z Polską cała Europa oczekuje od konferencji w Quebec decyzji, które uratują nasz kontynent nie tylko przed głodem i chaosem gospodarczym, ale również przed takimi faktami dokonanymi, które stanęłyby w sprzeczności z głoszonymi szumnie celami tej krwawej i bezlitosnej wojny.

U granic Niemiec

Jednym z paradoksów tej wojny jest inne traktowanie Polaków jako żołnierzy, a inne jako polityków. Na polu bitew powierza się im najcięższe zadania okazując im słusznie najwyższe zaufanie. W polityce głos ich pomija się nazbyt nieraz bezceremonialnie. Dywizja pancerna 1. Korpusu uczestniczyła obok wojsk kanadyjskich w najcięższych bojach w Normandii, pod Falaise. Zdecydowały one w niemałej mierze o całej kampanii francuskiej. Później posuwała się w marszu bojowym w pasie nad kanałem La Manche, gdzie opór niemiecki był najlepiej zorganizowany i najtwardszy. Idąc tak naprzód znalazła się w końcu w Belgii pod Ypres, na sławnych polach zaciętych bitew z poprzedniej wojny światowej. Wreszcie ostatnio uczestniczyła w zaciekłych walkach o kanał Ostenda-Gandawa a dziś po jego zwycięskim przekroczeniu znalazła się za Gandawą kierując się ku granicy holenderskiej. W ten sposób w wojnie tej polskie siły dorzuciły do kampanii polskiej, norweskiej, francuskiej, brytyjskiej (Battle of Britain), libijskiej, włoskiej i znowu francuskiej — kampanię belgijską, która na pewno ostatnią dla nas nie będzie.

Armie gen. Eisenhowera zajęły już dziś całe niemal wybrzeże Belgii, obsadziły kanał Ostenda-Gandawa, są w Antwerpii, walczą o kanał Alberta, zdobyły po raz drugi Bourg Leopold, trzymają Liege, zajęły dwa wciclone w roku 1940 do Rzeszy miasta belgijskie Eupen i Malmedy, weszły do pierwszego miasta niemieckiego Roentgen, zdobyły Luksemburg i całe niemal wielkie księstwo, trwają w ciężkich walkach wzdłuż Mozelli na odcinku Metz — Nancy, zajęły Neufchateau i prą poprzez zdobyty Vesoul ku Belfortowi — naturalnej twierdzy zamykającej wrota do Alzacji i południowych Niemiec. Armia gen. von Blaskowitza broni się tu jeszcze zawzięcie wzdłuż rzeki Doubs i gór Jura, graniczących z Szwajcarią. Lecz idąca z północy III armia amerykańska połączyła się z idącą z południa VII armią amerykańską w Chatillon nad Sekwaną na północ od Dijon. Oznajmiono również, że na terenie walk znalazła się IX armia amerykańska. Wszystko to stanowi zapowiedź uderzenia tym razem bezpośredniego na Niemcy. Celem pierwszym będzie Ren.

Niemcy nie dają jednak za wygrane. Nie widać jeszcze załamania się wśród ich wojsk. Chcą bronić się dalej, głosząc hasło „świętej wojny". Propaganda ich oficjalna rozpowszechnia w społeczeństwie niemieckim przekonanie, że alianci muszą wygrać wojnę w październiku. Gdy zatem — twierdzi ona — Niemcy przetrzymają ten okres, szanse ich znowu zaczną wzrastać.

Trzeba przyznać, że opór ich na zachodzie jak i na wschodzie tężeje. Dowodem tego jest trwająca wciąż zdeterminowana obrona portów Bretanii — Brest i Lorient, a także różnych portów wzdłuż kanału La Manche, z których Le Havre poddał się dopiero przed kilku dniami, a Dunkierka i różne inne gniazda oporu bronią się nadal. Dowodem tego jest również ich opór we Włoszech. Wojska sprzymierzone zdołały zająć na odcinku między Florencją, a morzem Tyreńskim Prato, Pistoję i stanąć przed Viareggio. Lecz nad Adriatykiem Niemcy fanatycznie bronią bramy zamykającej dostęp na równinę Lombardii między San Marino i Rimini.

Na wschodzie Niemcy osłaniają usilnie dostęp do Prus Wschodnich. Rosjanie oznajmili, że po ciężkich walkach ulicznych zdobyli „twierdzę" Łomżę, co potwierdzili zresztą Niemcy. Ale Łomża była już raz zdobywana. Komunikaty sowieckie donosiły również, że wojska rosyjskie „nie zważając na straty" wdarły się na Pragę w Warszawie. Od gen. Bora nadeszły meldunki o wycofywaniu się Niemców w Warszawie na lewy brzeg Wisły i o zelżeniu ich nacisku na Armię Krajową walczącą w stolicy. Inne uderzenie rosyjskie skierowane było w kierunku Dukli na przełęcz w Karpatach, prowadzącą do Słowacji. Niemcy zmuszeni byli ewakuować na tym odcinku Krosno. Doniesienia z Moskwy wspominały o przekroczeniu granicy polsko-słowackiej przez wojska sowieckie, z czego wynikałoby, że armie czerwone zamierzają znaleźć się jak najszybciej w Słowacji, gdzie niedawno zrzuciły oddziały spadochroniarzy. Manewr ten łączy się zapewne z szybkim obsadzaniem rumuńskiej części Transylwanii, gdzie m.in. zajęto Alba Julię i z przygotowywanym uderzeniem na równinę węgierską. Natarcie w tym kierunku idzie też od strony Bukowiny i północnego wschodu, gdzie Rosjanie zajęli dwie podgórskie miejscowości Campolung i Svantul Gheorghe.

Najciekawsze jednak są dwa inne wydarzenia. W Finlandii wybuchły walki niemiecko - sowieckie na dalekiej północy, pod Kandalakszą. Niemcy twierdzą, że Rosjanie złamali warunki rozejmu i zaatakowali ich przed terminem 16 września danym im do ewakuacji kraju. Rosjanie oskarżają o podobne zachowanie się Niemców. Gdyby walki te trwały, mogłoby dojść do nowego rozwoju wydarzeń w Finlandii, która być może byłaby zmuszona, podobnie jak Rumunia, wypowiedzieć Niemcom wojnę. Wojska niemieckie w Finlandii zagradzają od północy drogę do Norwegii.

Drugim ważnym posunięciem ze strony armii czerwonej jest obsadzenie Bułgarii. Według wiadomości na razie niemieckich wojska sowieckie wkroczyły już do Tracji, leżącej przy granicy tureckiej i obejmującej również północno - wschodni cypel Grecji przylegający do Turcji. Wojska czerwone przeszły już podobno góry Rhodopu, znajdują się na granicy bułgarsko - greckiej i skierowują się ku morzu Egejskiemu. Dawne marzenie carów Rosji znalezienia sobie wyłotu na Morze Śródziemne zostałoby spełnione. Sen o Bizancjum zacząłby się ziszczać. Gdyby wiadomości te okazały się prawdziwe, oznaczałyby one, że Rosja bądź uznaje Bułgarię w jej granicach z czasu wojny, a więc z zabraną bezprawnie Grecji Tracją, względnie, że przystępuje do okupacji Grecji na własną rękę. Czyżby Grecja również leżała w sowieckiej strefie wpływów?...

Rewolucja bułgarska

Te militarne posunięcia wysuwają w pełni zagadnienia Bałkanów. Punktem wyjścia były tu wydarzenia w Bułgarii. Wypadki toczyły się tam jak w kaledoskopie. W dniu 5 września Rosja wypowiedziała wojnę Bułgarii, co pozwoliło jej zająć ten kraj swymi wojskami. W Sofii zapanował popłoch. Rząd demokratyczny Murawiewa zwrócił się natychmiast do Moskwy o zawieszenie broni. Rząd sowiecki zażądał jednak, by Bułgaria na zadatek wypowiedziała najpierw wojnę Niemcom. Rząd bułgarski wyraził zgodę i Bułgaria znalazła się w dniu 8 września w wojnie z Niemcami będąc nadal w wojnie z Rosją. W Moskwie jednak nie ustawała nagonka przeciw „kilkom" rządzącym tym krajem. Rząd Murawiewa, Bogu ducha winny, oskarżony nagle o „faszyzm" musiał ustąpić. W dniu 9 września powstał rząd Gieorgiewa w oparciu o „front ludowy" i o komunistów. Rada regencyjna z ks. Cyrylem, bratem zmarłego króla Borysa, musiała również ustąpić. Na jej miejsce powołano nową radę regencyjną, złożoną z 3 nieznanych osób, wśród których znalazł się komunista. Gdy to się stało, Rosja zgodziła się wreszcie na rozejm. Wojna bułgarsko - rosyjska trwała 4 dni, ale dała Rosji piękne rezultaty.

Stronnictwa popierające nowy rząd bułgarski wydały odezwę, stwierdzającą, że nowy system zamierza opierać się przede wszystkim na „nierozerwalnych węzłach" ze Związkiem Sowieckim i z „nową" Jugosławią, stawiając na drugim miejscu „szczere i przyjazne stosunki z zachodnimi mocarstwami, Ameryką i naszymi sąsiadami". Jednocześnie delegaci bułgarscy wysłani do Kairu dla rokowań z Anglikami i Amerykanami o zawieszenie broni uznali, że nie mają tam już nic do roboty i przerwawszy rozmowy opuścili Kair udając się w drogę powrotną do Bułgarii.

Wydarzenia bułgarskie, które dawniej określano by mianem rewolucji, są zapewne wstępem do dalszych posunięć sowieckich na Bałkanach. Rzucają na nie światło ogłoszone również w Moskwie warunki rozejmu z Rumunią, które w praktyce oddają ten kraj oraz jego siły zbrojne do dyspozycji przede wszystkim Sowietów, co zresztą nie byłoby dziwne jako wynik poprzedniej kapitulacji. Na zasadzie wszakże tej umowy Rosja uzyskała również daleko idące prawo ingerencji w wewnętrzne życie polityczne Rumunii, która zacznie pewnie szybko przeobrażać się w specjalnym kierunku.

Turecki dziennik *„Ulus"* zastanawiając się nad znaczeniem tych gruntownych przeobrażeń podkreśla, że projektowana w filosowieckiej Sofii „unia południowych Słowian nie jest tylko zagadnieniem pobitej Bułgarii i podbitej Jugosławii, ale jest to sprawa ogólno - bałkańska", dając do zrozumienia, że Turcja chce mieć w tej kwestii głos. Pismo tureckie zwracało uwagę na słowa nowego bułgarskiego ministra spraw zagranicznych, który wspomniał o żołnierzach macedońskich, „czekających w armii bułgarskiej na wyzwolenie Macedonii". Swiadczyłoby to, że sprawa macedońska, która była już przyczyną tylu zatargów na Bałkanach, gotowa być znowu wysunięta dla wywołania tam jeszcze większego zamieszania.

W tej sytuacji pozycja Jugosławii może okazać się kluczową. Wojska sowieckie połączyły się już podobno z oddziałami marsz. Tito. Z drugiej strony gen. Mihajłowicz zarządził w dniu 1 września ogólną mobilizację wzywając naród serbski do powstania przeciw okupantowi. Jak donoszą nam z kół jugosłowiańskich, mobilizacja miała przebieg pomyślny. Rozbrojono liczne oddziały niemieckie przejmując władzę cywilną na wyzwolonych terenach. Niemcy mszczą się szczególnie na mieszkańcach miast, zwłaszcza Belgradu. Wstrzymywanie dowozu żywności do stolicy, masowe aresztowania oraz egzekucje są na porządku dziennym. Niemcy zamierzają bronić Belgradu za wszelką cenę.

Wypadki na Bałkanach doprowadziły już do zapoczątkowania ewakuacji wysp greckich przez Niemców, a ponadto do dalszego zbliżenia grecko - tureckiego. Zarówno Grecja jak i Turcja obawiają się wyraźnie hegemonii, która grozi narodom bałkańskim.

Na tle pogłosek z Londynu

Wypadki na Bałkanach rzuciły ciekawe światło na rozmowy p. Mikołajczyka w Moskwie. Okazało się, że i tu i tam wszystko odbywało się według tego samego schematu. Z Londynu doniesiono, że „memorandum premiera Mikołajczyka, przesłane do Moskwy, rząd sowiecki przekazał Komitetowi Wyzwolenia". A więc podczas gdy p. Mikołajczyk usiłuje bezskutecznie utrzymać swe rozmowy na płaszczyźnie rokowań polsko - rosyjskich, Moskwa spycha je konsekwentnie na płaszczyznę rozmów „między Polakami", to znaczy do rokowań Komitetu Wyzwolenia Narodowego z „niektórymi emigrantami z Londynu". W *„Le Progres Egyptien"* ogłoszono nawet nazwiska osób, które Komitet Wyzwolenia Narodowego gotów jest przyjąć do swego grona. Są to premier Mikołajczyk, prezes Rady Narodowej prof. Stanisław Grabski, minister Popiel i ktoś z kraju.

D. I.

(Dokończenie art. na str. 6).

WARSZAWA W PRASIE WŁOSKIEJ

Podany powyżej plan Warszawy z zaznaczeniem frontu niemiecko-rosyjskiego, przebiegającego pod samą Pragą, ukazał się w tygodniku włoskim *„Cosmopolita"*, który jednocześnie zamieścił obszerny artykuł p. Gino Tomajuoli poświęcony Warszawie.

Autor na podstawie depesz i meldunków gen. Bora, a także obszernych cytat korespondenta niemieckiego pisma „Voelkischer Beobachter" odtworzył przebieg walk w Warszawie, przedstawiając tragizm położenia Polaków.

Oto kilka wyjątków z artykułu, uwydatniającego w sposób bezstronny a ścisły heroizm Armii Krajowej oraz zachowanie się wojsk sowieckich wobec niej:

„Wieczorem 31 lipca radio moskiewskie wezwało ludność Warszawy i cały naród polski do powstania. Wezwanie zapewniało, że oswobodzenie stolicy jest bardzo bliskie, i że zwycięska armia sowiecka walczy, by w najkrótszym czasie udzielić pomocy stolicy i ją oswobodzić...".

Po przedstawieniu wyników pierwszych dni walk powstańców i po stwierdzeniu, że opór niemiecki zaczął stopniowo wzrastać, autor w ten sposób przedstawił dalszy przebieg wydarzeń:

„Powstańcy jednak nie ustępowali i nie zatrzymali się, gdy stanęli wobec wzrastających trudności. Przede wszystkim jednak nie ulegli zniechęceniu wobec zupełnego opuszczenia, w jakim zostawiła ich zwycięska armia rosyjska. Między 1 a 5 sierpnia wojska sowieckie doszły do granic miasta i stanęły przed Grochowem i Kawęczynem, odległym od centrum stolicy o mniej więcej 2 i pół km. Chłopi z sąsiednich wsi podążyli do niszczonego miasta dostarczyć żywność i wodę, lecz miasto nie otrzymało żadnej innej pomocy z zewnątrz...".

Opisując wyniki walk powstańczych oraz znaczenie zajętych przez powstańców dzielnic miasta, zaznaczonych na powyższym planie Warszawy białymi plamami, autor stwierdzał co następuje:

„14 stref miejskich znalazło się pod całkowitym panowaniem powstańców. Obejrzcie je na planie. Zamykają one wszystkie główne ulice i wszystkie mosty wiślane, przez które przechodziły wojska niemieckie na wschodni brzeg Wisły, tam gdzie Rosjanie z bronią u nogi czekali, by dopełniła się ta tragedia, a Niemcy usiłowali dorównać w podłości tej zadziwiającej sytuacji...".

Omawiając treść meldunków gen. Bora oraz doniesień radiowych z Warszawy, autor pisał:

„Dwa razy dziennie gen. Bór przekazywał swoje komunikaty wojenne. I za każdym razem ściskało się serce każdemu, kto znał to piękne miasto. Bez żadnego załamania głosu warszawianie donosili: Taka a taka ulica uległa dziś całkowitemu zniszczeniu, a kilka tysięcy mieszkańców znalazło grób pod gruzami. Nie mamy więcej żywności, nie mamy więcej lekarstw, nie mamy wody. Mamy jednak ciągle jeszcze własną nową amunicję. Dwa, trzy, pięć warsztatów broni i amunicji działa bez przerwy. Robotnicy pracują nie żądając zmiany, ani żywności. Matki patrzą, jak padają ich synowie, gdyż same walczą. Lecz by zrozumieć ducha obrońców Warszawy, wystarczy powołać się na to, że oni, ci zniewolnicy, ci obłąkani, ci wygłodniali, umierający, ranni troszczą się przede wszystkim o tych współobywateli, którzy zostali wywiezieni przez Niemców do obozu koncentracyjnego w Pruszkowie. Dla siebie żądają tylko broni. Dla swoich towarzyszy, którzy wpadli w ręce niemieckie, domagają się pomocy od cywilizowanego świata. Trzy wielkie ekspedycje samolotów brytyjskich, które wyleciały z baz włoskich zabrały z sobą działa i amunicję, lekarstwa i żywność dla wsparcia obrońców, lecz to wszystko okazało się nie wystarczające, a lot należał do najbardziej ryzykownych, które lotnik mógł przedsięwziąć, wobec odmowy Rosji oddania do dyspozycji swych baz lotniczych...".

Artykuł kończył się następującymi słowami:

„Od miesiąca dwie armie ściskają Warszawę liniami swoich frontów. Między nimi bohaterski naród walczy, by nie zginąć. Walką swą zdobył on najwyższe prawa do wolności i do szacunku całego świata".

Organ Akcji Katolickiej *„Il Popolo"* w artykule pod nagłówkiem „Tragedia Warszawy" pisał co następuje:

„Ten kto nie widział oblicza Warszawy po odzyskaniu przez nią wolności, gdy miasto to odległe od nas w przestrzeni i w myślach szukało w swej przeszłości i w swej przyszłości świadectw i zapowiedzi piękna oraz chwały, by uczynić jeszcze godniejszym, jeszcze sławniejszym ów gród — który za hasło walk swych przyjął wezwanie „Za wolność waszą i naszą" — kto tego nie widział, nie spotkał się z obliczem miasta świętego. Być może Królowa Korony Polskiej udzieliła odrodzonej stolicy owego mistycznego uśmiechu..

„Bardziej jednak niż w pałacach i kościołach, gdzie sztuka włoska pozostawiła tyle pamiątek i wspomnień, bardziej jeszcze niż w płótnach owego malarza z Wenecji, który uwiecznił czarujący obraz Warszawy XVIII stulecia, duch jej wyrażał się raczej w jej parkach, ogrodach, w tej wiernej rzece, jak nazwał Wisłę jeden z największych synów Polski, w domach, gdzie życie oddychało zielenią, w zamglonym błękicie nieba, a także w tej ciszy, która zaskakiwała ludzi południa, ciszy katedry, gdzie tylko szept ofiary, obecność Boga, słowa modlitwy i skargi człowieczej dawały znać o sobie. Taka była Warszawa. Nasze oczy śmiertelne nie ujrzą już jej takiej, jaką była...".

Pismo przytoczyło następnie w tłumaczeniu włoskim wiersz powstańców Warszawy, umieszczony niedawno na łamach „Orła Białego", po czym tak pisało:

„Tak mówi Warszawa. Imię jej pozostanie w sercach tych, którzy poznali jej ducha. Imię to będzie nieśmiertelne. Stanie się źródłem niewyczerpanej chwały dla tych, którzy pozostali wierni temu miastu, nieustannego niepokoju dla tych, którzy gród ten zdradzili".

Organ Stronnictwa Czynu *„L'Italia Libera"* w artykule p. n. „Polska — w rocznicę napaści niemieckiej" przypomniał kampanię wrześniową 1939 r. stwierdzając, że Polska nie ugięła się pod naporem klęski.

„Jej oddani synowie prowadzili dalej przez 5 lat walkę przeciw najeźdźcy. Na podstawie doświadczeń przeszłości wiedzieli, że ceną odrodzenia staje się znowu ich krew. I dziś po 5. latach Warszawa walczy wciąż bohatersko o swą wolność ostateczną. A nad brzegami Adriatyku wojska włoskiego korpusu wyzwolenia, które, jak mamy nadzieję i jak chcemy, staną się niebawem armią, wielką armią, walczą ramię przy ramieniu z żołnierzami polskimi, nacierając na wspólnego wroga i rzucając podstawy pod przyszłość obu krajów, które zbliża nieszczęście".

W żołnierzach tych „L'Italia Libera" widzi przednią straż nowej Europy, opartej na równości i braterstwie narodów.

D. I.

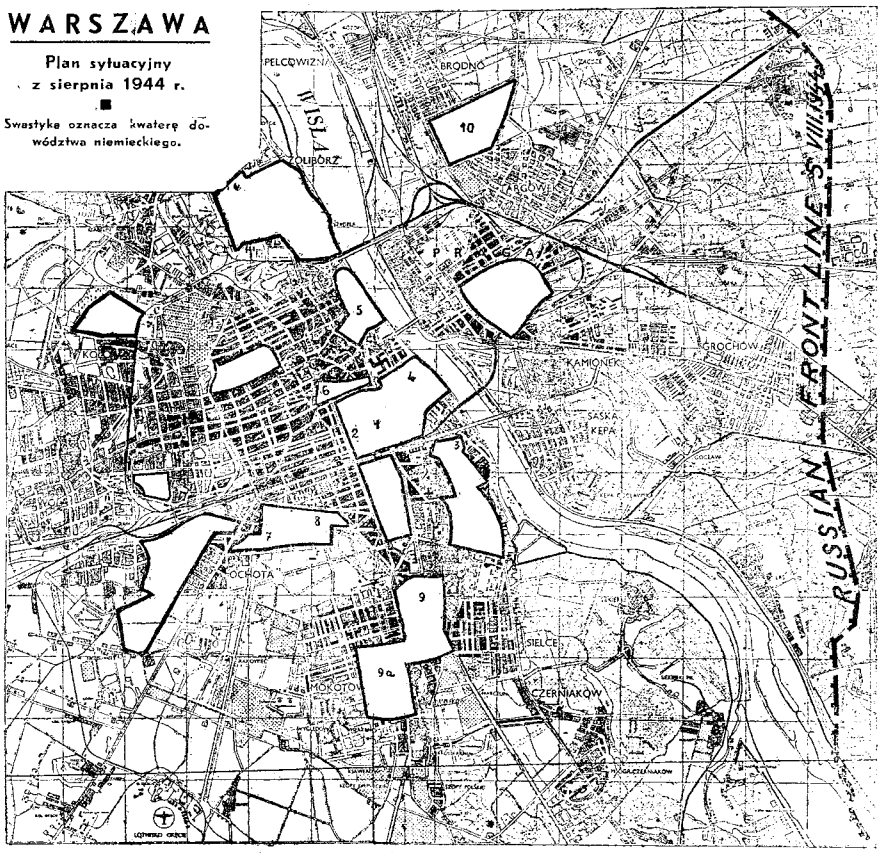

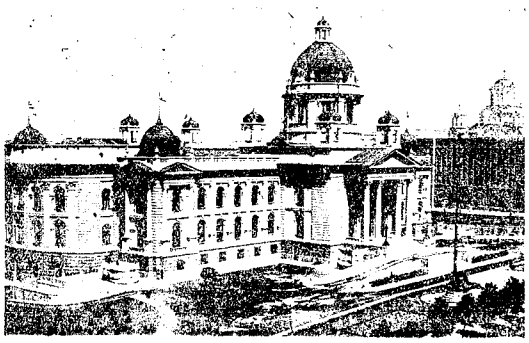

Parlament w Białogrodzie (do tyg. przegl. wydarzeń na str. 5)

WARSZAWA-QUEBEC

(Dokończenie ze str. 5)

„The Stars and Stripes", gdzie rzadko spotyka się wiadomości przyjemne dla Polski, natomiast często natrafia się na depesze mogące nas przedstawić w świetle ujemnym, zajmują się żywo osobą gen. Sosnkowskiego agitując wyraźnie przeciw Naczelnemu Wodzowi. Pismo to kolejno donosiło, że gen. Sosnkowski wydał rozkaz do Armii Krajowej, gdzie w ostrej formie poruszył sprawę niedostatecznej pomocy dla Warszawy i jej opuszczenia. Dziennik zapewniał dalej, że w tej sytuacji rząd polski zażądał dymisji gen. Sosnkowskiego, której nota bene może udzielić tylko Prezydent R. P. Naczelny Wódz wszakże „odmówił podania się do dymisji oświadczając, że nie dojdzie, dopóki nie otrzyma zwolnienia". W dwa dni potem pismo oznajmiało o jakichś antybrytyjskich i antysowieckich ulotkach, krążących rzekomo wśród wojsk polskich w Anglii oraz że premier Mikołajczyk wypowiada się za dymisją Naczelnego Wodza. *„The Stars and Stripes"* zaznaczały wszakże, że socjaliści polscy oświadczyli, iż głosować będą za dymisją Naczelnego Wodza tylko w tym wypadku, o ile dojdzie jednocześnie do zmiany rządu. Donosząc zaś o ostatniej pomocy lotniczej dla Warszawy *„The Stars and Stripes"* nie powstrzymały się od uwagi, że pomoc ta przeczy „insynuacji" gen. Sosnkowskiego, jakoby Warszawa była opuszczona. Nadmienić jednak wypada, że rozkaz Naczelnego Wodza był wydany w dniu 1 września, a wiadomość o ostatniej pomocy dla Warszawy ukazała się w prasie w dniu 14 września.

Nie mamy możności sprawdzenia wszystkich tych pogłosek, notowanych tak skwapliwie przez *„The Stars and Stripes"*. Pisma brytyjskie wychodzące we Włoszech zachowują we wszystkich tych dość bolesnych dla nas sprawach dyskretne milczenie, co potrafimy ocenić.

D. I.

Sprostowanie

W poprzednim przeglądzie wydarzeń p.t. „Znów Wrzesień" ustęp 6. wiersz 7. winien brzmieć:

„Fala powszechnego żalu i rozgoryczenia".

Na stronie 8. bieżącego numeru podtytuł winien brzmieć:

Gli uomini liberi sono fratelli

TADEUSZ ZAJĄCZKOWSKI

JAK WINCUK Z MARYSIEM NIEMIECKĄ ARMATĘ ZDOBYLI

Siedzą tu ze mną pod rozłożystym dębem na stoku zielonego wzgórza, nad rzeką Metauro, obaj Krechowiacy, ułany zawzięte, obaj plutonowi, obaj barczyści i wyrośnięci, młodzi i weseli. Wincenty Cz. z Wołożyna i Marian W. z Miechowa, motocykliści, regulatorzy ruchu ułanów Krechowieckich.

Opowiadają historię, która brzmi jak jakaś sienkiewiczowska fantazja, a jest najprawdziwszą od początku do końca.

A było to tak. Parę tygodni temu szło natarcie czołgów od Augugliano nad rzekę Esino, na tor kolejowy koło Chiaravalle. Krechowiacy mieli uderzać w drugim rzucie. Kiedy już weszli do akcji, z punktu obserwacyjnego dowódcy wysłano naszych motocyklistów dla nawiązania łączności z nacierającym pułkiem.

„Dojechaliśmy do skrzyżowania dróg — mówi Wincenty Cz. — i pytamy żandarma, dokąd poszedł pierwszy rzut? Żandarm powiedział, że na prawo. Ponieważ wiedzieliśmy, że nasz pułk idzie w drugim rzucie, więc pojechaliśmy na lewo. Jedziemy, jedziemy, aż zgubiliśmy ślad gąsiennic... Mówię: Maryś co zrobimy. A on powiada: Jedziemy dalej, przecież kogoś spotkamy... Więc dojechaliśmy dalej.

Dojechali do Cameraty, przejechali miasteczko, dalej na drogę nad rzekę — śladów nie ma — ludność wyskakuje, cofa się, chowa — widzę, że coś nie w porządku... Cywile pytają, kto my? Jak się dowiedzieli ,że Polacy — wino wynoszą, całują, cieszą się, „liberatori" krzyczą... Oho, myślę sobie, ładnieśmy się wpakowali!

„Zatrzymaliśmy się przed jakąś chałupą, wychodzi cywil i pokazuje: Canone tedeschi! Ja nie chcę mu pokazać, żeśmy zabłądzili, więc mówię: Canone polska! A on: No, no, tedeschi!

„Pytam: Maryś, jedziemy, czy nie? Zawsze działo, to będzie z 10 ludzi przy nim, nie damy rady... A Maryś mówi: Co mamy nie dać rady, jedziem!

„Podjechaliśmy, widzimy konie się pasą w krzakach, działo w rowie stoi, co robić? Uciekać już nie da rady, więc postawiliśmy motocykle, wyciągnęli pistolety i idziemy do działa. Podchodzimy. Nikogo nie ma, tylko na lufie wisi karabin. Maryś odciągnął zamek. Nabity — mówi — mamy się czym bronić!

„Za drogą naprzeciwko widzę brama na obejście. Stanęliśmy koło niej, ja obserwuję na prawo, Maryś na lewo. Widzę na podwórzu cywila, wołam na niego, żeby podszedł! Cywil zauważył, że stoję z pistoletem i macham na niego. Uciekł do chałupy. Jak on wpadł do chałupy, zza węgla wyskoczył Niemiec i w krzaki! Maryś — mówię — są Niemcy! A on powiada: Jak jest działo, to pewno, że są i Niemcy...

„W tej chwili Niemiec wraca z krzaków, a ja z pistoletem do niego: Halt! Niemiec w nogi, oddałem za nim cztery strzały, kiedy w tym Maryś krzyczy: Niemiec z prawej! Znów strzelamy w tamtą stronę — Niemcy znikają w krzakach.

„Stoimy pod tą bramą i czekamy, kiedy oni otworzą ogień i skończą to wszystko. Myślę: no, zaraz puszczą z chałupy serię — skończona nasza kariera! Ale po dwóch, trzech minutach wychodzi z domu jeden Niemiec, karabin lufą na dół, a ręce do góry. Jak on wyszedł, mówię do Marysia: Słuchaj, musimy teraz uważać, bo może być jaka prowokacja. Albo ja pójdę do niego, albo idź ty; jak kropną jednego, to drugi będzie mógł uciec, albo się bronić. Maryś mówi: ja pójdę, a ja też chcę iść. Tak my pokłóciliśmy się trochę, a potem wyskoczyliśmy razem, bo żaden nie mógł wytrzymać. Niemiec, jak nas zobaczył, zaraz odrzucił karabin. No, mamy już dwa. Zrewidowaliśmy naszego jeńca, czy nie ma pistoletu lub granatu i Maryś pyta: Ile kamrat w casa? Niemiec pokazuje na palcach, że sześć. Wtedy my pistolety do niego: wołaj tamtych, bo będzie z tobą kaput! Ten coś krzyknął i zaczęli wychodzić.

„Wyszedł jeden, potem jeszcze dwóch. Tak samo zrewidowaliśmy ich, odebrali broń. Ale myślę sobie: Nie dobrze! Jak się zorientują, że tu więcej nikogo nie ma, może być źle z nami. Więc idę do bramy i krzyczę niby do naszych: Hallo! Uważajcie tam na drogę. Niemcy zgłupieli i uwierzyli.

„Pytamy dalej, gdzie jeszcze dwóch? „Capitano i caporale w casa" — mówią Niemcy po włosku.

„Zostaję przy jeńcach, a Maryś pakuje się do mieszkania. Narobił krzyku, nastraszeni cywile pokazują, że tamci dwaj „via! via!" Rzeczywiście, zaraz za domem był ogród, kukurydza, konopie — uciekli!

„Naradzamy się z Marysiem, czy szukać ich? Ale daliśmy pokój: przecież byliśmy na niemieckich tyłach, trudno zanadto buszować.

„Zabraliśmy naszych czterech Niemców, i kombinujemy, jak teraz wrócić. Kazaliśmy im wykręcić działo, założyć konie — jeden był kulawy, więc zaprzęgliśmy tylko dwie pary — a działo duże, jak jasna cholera — 105 z jaszczem, ze wszystkim. Kulawego konia puściliśmy na trawę, tego piątego uwiązaliśmy do działa, dwóch Niemców wsadziłim na konie, trzeciego przy hamulcu, bo kombinujemy, że może przyjdzie się jechać z góry, a czwarty wsiadł na jaszcz i jazda!

„Jedziemy pomalutku, ujechaliśmy z pół kilometra — nasi Niemcy zaczynają się niepokoić. „No bono". — „Samoloty będą bombardować!" — I rzeczywiście, lecą nasze eskadry, mogą rąbnąć. Mówię do Marysia: Słuchaj, nie damy sami rady, musi jeden z nas jechać po naszych. Maryś został, a ja pojechałem.

„Jadę jedną milę, dwie, trzy — nie ma nikogo. Zaczynam się niepokoić, jak tam Maryś sobie radzi? Przecież on tam sam jeden, zeskoczy który Niemiec z konia, pchnie motocykl i po wszystkim. Akurat wychodzi na drogę dwóch cywilów. Wsadzam ich na motocykl i wracam do Marysia. Ale po drodze myślę sobie: Cholera wie, co to za cywile? Może jacy faszyści? dać im broń, to jeszcze nas postrzelają!

„Spotkałem Marysia, jak pomału prowadził działo, opowiedziałem mu co i jak, i znów się naradzamy: dawać tym cywilom broń, czy nie? — Czekaj — mówi Maryś — dajmy im broń, ale nie naładowaną. — To była dobra myśl, więc wziąłem karabin, udałem, że go ładuję i dałem Włochowi. Ten zaraz wycelował w Niemca. Aha! — myślę — dobrze, pomogą nam!"

Teraz już bez dalszych przygód posuwał się pochód: pośrodku zdobyczne działo z obsługą, z boków dwaj Włosi z karabinami, za nimi Wincuk i Maryś na motocyklach. Po drodze zahaczyli jeszcze jednego konia, bo im zawadzał w marszu. Tak wkraczają do Cameraty. Ale tutaj oczekuje ich nowa niespodzianka. Entuzjazm ludności, która widzi w naszych ułanach pierwszych zwiastunów oswobodzenia z pod dotkliwej okupacji niemieckiej, staje się przeszkodą nie do przezwyciężenia.

— „Ledwo wjechaliśmy w pierwsze zabudowania — mówi, błyskając białymi zębami w szerokim uśmiechu Wincuk — jak otoczyła nas gromada cywilów.. Dziewczęta rzucały kwiaty, mężczyźni częstowali winem, a wszyscy krzyczeli na wyprzódki: „Prigioniero, prigioniero!", wyglądało, jakbyśmy we dwóch całą niemiecką armię rozgromili. Widzę, że nie da rady przeprowadzić jeńców przez miasteczko, więc mówię do Marysia: Zaprowadzimy ich na podwórko i sprowadzimy pomoc.

„Tak i zrobiliśmy. Usadziliśmy Niemców na podwórzu pod ścianą, postawiliśmy działo przy nich, odebraliśmy Włochom karabiny, aż tu patrzę — a ten trzeci gdzieś przepadł razem z koniem. E, myślę sobie, tak nie idzie! Uważać! — wołam do Włochów — było pięć cavalli! (i pokazuję pięć palców), a teraz — cztery. Żeby mi zaraz ten brokujący cavallo się znalazł!

„Włochy w strachu zaprowadzili nas do stajni: poznałem cywila, który był z nami i do niego: Gdzie nasz koń? A on mówi, że już konia nakarmił i że musi być jego. Nie, bracie, powiadam, to ty zdobycz wojenną chcesz gwizdnąć? Nic z tego! Żeby mi zaraz cavallo był przy dziale, bo inaczej spuszczę ci takie wały, jakich nigdy jeszcze nawet od rodzonej żony nie dostałeś!

„Włoch coś pomruczał, ale konia przyprowadził. Zostawiłem Marysia z całym tym kramem na podwórku w Camerata i pojechałem szukać naszych".

Niedaleko od miasteczka był punkt obserwacyjny naszej artylerii. Znajdujący się tam porucznik kręcił z powątpiewaniem głową słuchając opowiadania Wincuka, ale w końcu dał mu dwóch kaprali z tomiganami i Stuarta.

Z taką eskortą przyprowadzili Wincuk z Marysiem szybko i bez przeszkód swą zdobycz do pułku, gdzie zdobytą niemiecką armatę nie tylko pokazano korespondentowi wojennemu, ale i na wieczną rzeczy pamiątkę sfotografowano jak się patrzy.

— „Tylko ot — uśmiecha się Maryś — pan pułkownik koni nie pozwolił zatrzymać... Coście wy, powariowali? Do motocykla ich uwiążecie, czy jak? — A szkoda!..."

— „Szkoda!" — wzdycha Wincuk.

Wincuk, Maryś i... niemiecka armata

ŻOŁNIERZ I KONSTYTUCJA

(*Dokończenie art. ze str. 1.*)

wybierających Prezydenta R.P.) ustala wyraźnie ustawa konstytucyjna.

Konstytucja nie obowiązuje przez to, że „formalnie" istnieje na papierze, musi być jeszcze ściśle wykonywana i wcielana w życie. Inaczej porządek prawny państwa ulega zachwianiu. Konstytucja musi być stosowana zarówno co do swej litery jak i swego ducha. A duch ten w zakresie zadań i organizacji sił zbrojnych jest całkowicie wyraźny.

Nasza ustawa zasadnicza przeprowadza konsekwentnie zasadę o d g r a n i c z e n i a i u n i e z a l e ż n i e n i a polskich sił zbrojnych od zmiennych fluktuacji partyjno-politycznych, a czyni to w tym celu, by właśnie i przetargi partyjne nie osłabiły więzi moralnej łączącej wojsko, by w szeregach polskich sił zbrojnych mogli znaleźć miejsce dla siebie ludzie o najróżniejszych przekonaniach, oraz by Naczelny Wódz nie był krępowany w zakresie dowodzenia przez czynniki polityczne. Wychodząc z tych założeń konstytucja wyraźnie określiła, że „za akty związane z dowództwem Naczelny Wódz odpowiada przed Prezydentem R.P. jako zwierzchnikiem sił zbrojnych". Wprowadzenie zatem odpowiedzialności Naczelnego Wodza przed rządem nie jest możliwe bez zmiany konstytucji.

Nie wiemy, jak należy rozumieć projekt utworzenia „gabinetu wojennego", czy „rady obrony państwa". Gdyby chodziło o ciało doradcze Prezydenta R. P. projekt taki z punktu widzenia konstytucyjnego nie budziłby większych zastrzeżeń, o ile byłby oparty na podstawie rzeczowej. Poprzedni Prezydent R. P. a niejednokrotnie również obecny zwoływali do siebie w ważnych chwilach na wspólne narady Naczelnego Wodza, prezesa rady ministrów oraz ministra spraw zagranicznych. Można by owe konferencje z dodaniem ministra obrony narodowej uznać za „gabinet wojenny" czy „radę obrony państwa". Ale nie mogłoby to w żadnym razie zmienić istoty artykułu 63. pkt. 4. o odpowiedzialności Naczelnego Wodza ani też prowadzić do skrępowania go w zakresie dowodzenia również wówczas, gdyby funkcje te pełnił Prezydent Rzeczypospolitej.

Gdyby wszakże plan ów zmierzał do jednoczesnego zniesienia i n s t y t u c j i Naczelnego Wodza, i wyznaczenia do „gabinetu wojennego" nie ministrów stojących na czele resortów związanych rzeczowo z obroną państwa, ale przede wszystkim przedstawicieli stronnictw rządowych, powołanie nowej instytucji nawet jako doradczej nie byłoby zgodne z duchem konstytucji. Uwzględniając zaś to, że do koalicji rządowej zostali już zaproszeni komuniści, których przedstawiciel wszedłby automatycznie do tak projektowanego „gabinetu wojennego", łatwo doszlibyśmy do sytuacji, w której na czele polskich sił zbrojnych zamiast Naczelnego Wodza stanąłby sowiet niektórych stronnictw polskich i komunistów. Nie potrzeba rozwodzić się, czym groziłoby takie postawienie sprawy. Stanęlibyśmy już wówczas wobec j a s k r a w e g o pogwałcenia litery i ducha obowiązującej „formalnie" konstytucji.

Z Londynu nadeszły wiadomości o zatargu, który powstał między rządem a Naczelnym Wodzem na tle jego rozkazu do Armii Krajowej. Rząd domaga się w związku z tym dymisji gen. Sosnkowskiego. Nie znamy bliżej szczegółów i kulisów tej sprawy. Nie jest ona na pewno fortunna. Wystąpienia przeciw Naczelnemu Wodzowi odbijają się w szeregach armii echem tym przykrzejszym, że znane jest miejsce, g d z i e wszczęto kampanię przeciw gen. Sosnkowskiemu, wiadomo też k o m u przede wszystkim zależy na jego usunięciu i k t o w nim widzi jednego z najbardziej niezłomnych orędowników całości i suwerenności państwa, a także jednego ze zdecydowanych obrońców tych praw politycznych, które żołnierz polski zdobył dla swego kraju w krwawych bojach na wszystkich niemal frontach europejskich, na oceanach i morzach, w powietrzu, a ostatnio w samotnej, bezprzykładnej walce o wolność stolicy.

W warunkach tak szczególnych, a zarazem tak oczywistych można było oczekiwać, że czynniki polskie zaoszczędzą narodowi i wojsku nie krępujących się żadnymi względami własnych wystąpień przeciw Naczelnemu Wodzowi. To jedno. A po drugie, gdyby dążenia zmierzające do usunięcia gen. Sosnkowskiego z zajmowanego stanowiska były pierwszym krokiem ku stopniowej realizacji planu skasowania samej i n s t y t u c j i Wodza Naczelnego i postawienia na jego miejsce „gabinetu wojennego" z udziałem komunistów lub innych zdrajców, wówczas autorzy tak niebezpiecznych projektów musieliby zrozumieć, że weszli na drogę wyraźnego łamania konstytucji i że na drodze tej zostaną sami.

Broniąc całości i suwerenności państwa, w nieustannej i dobitnie wyrażanej trosce o n i e z m a r n o w a n i e tak szczodrze przelewanej krwi polskiej, w usilnych zabiegach o dopomożenie samotnie walczącemu narodowi, Naczelny Wódz ma za sobą poparcie każdego żołnierza. W rozkazie do żołnierzy 2. Korpusu opuszczając Włochy po ostatniej swej bytności tutaj Naczelny Wódz powiedział m.in.

„Znam dobrze wasze wyznanie wiary, wasze myśli są moimi myślami. Wasze dążenia i uczucia mieć będą we mnie zawsze orędownika i obrońcę".

Słów tych nie zapomnieliśmy.

Ale poza stosunkiem do Naczelnego Wodza istnieje również nasz stosunek do konstytucji. Obowiązkiem każdego, kto przysięgał na nią jest stanąć w jej obronie, a także w obronie praw i obowiązków, które nakłada ona na armię. W tej sprawie nie może być dwóch opinii i dwóch zdań. Przysięga obowiązuje wszystkich. Nie była ona dana tylko „formalnie".

Rozwiązanie obecnych trudności i decyzja najwyższa leży w rękach Prezydenta R. P. Ufamy, że w postanowieniach swych uwzględni on w pełni wolę armii, wyrażaną wielokrotnie i wyraziście przez jej dowódców.

Arp.

Wystawa Malarska w Teheranie 1943 r.

Zawiadamiamy Kolegów malarzy, którzy brali udział w wystawie teherańskiej, że prace ich są do odebrania w Dziale Plastycznym Oddziału Prop. i Kult. APW.

Prosimy także o podanie adresów celem przesłania katalogu z odbytej wystawy.

Wyjątek z nie ogłoszonej pracy tegoż autora p. t. „W promieniach duszy Italii".

Rzecz dzieje się między 1 a 9 lipca 1944 roku. Zadanie Polskiego Korpusu na italskim froncie — nie zgubić kontaktu z nieprzyjacielem; pochwycić jak najprędzej Ankonę.

Ankona w posiadaniu sprzymierzonych — to możliwość zaopatrzenia ogromnego frontu z morza. Opanowanie Ankony jest najpilniejszym i najtrudniejszym zadaniem całego frontu.

Z Korpusem Polskim i pod komendą jego Dowódcy, w akcji na Anconę, na lewym skrzydle, z kierunkiem na Macerata, Filotrano i Jesi posuwają się oddziały italskie.

Zawiązki na wpół zorganizowane wojska Wolnej Italii.

Są tu starzy żołnierze i bardzo dużo młodzieży. Starszej i zupełnie jeszcze młodziutkiej.

Lewe skrzydło Korpusu, wyciągnięte na podłużnym wzgórzu Biagio.

Przed Biagio — głęboka urwista dolina. Po tamtej stronie na lewo — wzgórze pokryte kukurydzą i winoroślą; na nim samotna, wysoka pinia. Na prawo — villa

Pinia

Maria, o dalej jeszcze na prawo w głębi — ogromna góra Montoro, nawisająca jak zmora nad całą okolicą. Na szczycie jej Niemcy i ich obserwacja.

Na lewo po naszej stronie — tonące w ogrodach Centofinestro z wysoką wieżą. Dalej — półtora kilometra odsłoniętej drogi do Villa Nuova. Jeszcze dalej — szereg domków przydrożnych; potem kawałek drogi do Filotrano odsłoniętym grzbietem i samo Filotrano wreszcie, wzgórze i miasto, wznoszące się tarasami, podobne łudząco do Piedimonte.

Na lewym skraju miasta — jakiś bardzo wydłużony budynek, może klasztor, zewsząd widoczny. Tam obserwacja do walki na bliską odległość.

Oho, nie sposób będzie dostać się do miasta tarasami! Tylko drogą na wprost, tułąc się do skarp, przeskakując od domku do domku.

Filotrano, to filar obrony prawego skrzydła Niemców. Stoi na straży drogi prowadzącej do Jesi. Widać je na odległym przeciwnym horyzoncie.

Droga to bardzo ważna dla naszego zasadniczego manewru.

Starzy przyjaciele

W Centofinestro — kompania lwowskiego baonu. Dowodzi porucznik Ł. Dobry to znajomy z Piedimonte. Pod Cassino wyfasował w płuca odłamek pocisku z moździerza i z nim po kilku dniach, już znowu dowodził kompanią pod Piedimonte.

Villa Centofinestro jest na pół zawalona. Jeszcze parę dni temu pełne wysokiej kultury wnętrza. Przepiękne meble, książki i obrazy, przywalone gruzem. Specyficzny zapach kurzącego się tynku i trupa. W ścianę raz po raz uderzają pociski.

A gdzież dobrzy starzy znajomi, towarzysze bojów? Gdzie ten wysoki porucznik Sekuła, adiutant baonu z Piedimonte? A szef Slezak, osadnik z Wołynia? Z nim rozmawialiśmy tam dużo wśród gruzów!

A ot, tuż!

Przy willi, wzdłuż drogi — niemieckie okopy, głębokie po szyję. W trzech metrach od okopów, za drogą dwa druciki kolczaste, tak po prostu przeciągnięte dla ogrodzenia pola od szkód.

Aż dotąd pod wysoką górę zdołali dobiec i Sekuła, i Slezak i wielu innych. Chwilka zatrzymania się przed drucikami, chwilka utraty impetu — i oto leży długa sylwetka porucznika Sekuły, a obok Slezak, już czarny, spuchnięty, patrzący oczami w niebo.

Osadnik z Wołynia; na niemiecko-rosyjskich okopach z tamtej wojny wznosił swą osadę w ciężkim trudzie! Tak jak tu, na pontyjskich błotach, dzielni contadini italscy! Tylko, że żona i sześcioro dzieci na Syberii: deportowani przez Sowiety w roku 1940. Umarła tam żona, była wiadomość. A dzieci?

■

Półtora kilometra dalej Villa Nuova. Tu inny lwowski baon.

Dom contadina, podziurawiony na wylot pociskami. Dowódca baonu kilkakrotnie ranny dnia tego. Dowodzi dalej.

W poprzek drogi, niedaleko, ostatnia kompania tego baonu. Stamtąd 2 kilometry — Filotrano.

Wzięto tu jeńców około stu z oddziału, który świeżo przybył dla zasilenia załogi Filotrano. Zeznają, że Filotrano przygotowuje się do poważnej obrony. Niemcy mają zadanie nie tylko bronić tej miejscowości, lecz przeprowadzić natarcie, dla odzyskania utraconych stanowisk aż do Biagio włącznie.

Dowódca kompanii mówi, że jutro o świcie, poprzez jego kompanię ma wyjść natarcie baonów Wolnej Italii.

Włosi nocują w Centofinestro w parku. Postanawiam pójść z nimi. Wracam.

ODNOWIONE

Przyjaźń zupełnie nowa

W Centofinestro zastaję baony włoskie. Przychodzi do mnie major z oficerami. Przyglądam się szeregowym.

Twarze są tak skądciś znane, z rysów i wyrazu, zwłaszcza u starszych.

Aha, to przecież obrazki z naszych podręczników historii, z wiosny ludów 1848, z powstania naszego 1863 r. Uderzające podobieństwo.

Toż to Francesko Nullo z bródką, w jakimś dziwacznym mundurze. Obrazek, który małemu chłopcu matka palcem pokazywała i w ucho szeptała o powstaniu, o szlachetnych ludziach, przybyłych z dalekiej Italii? Bili się w naszych szeregach i w naszych lasach za naszą wolność, jak nasi dziadowie kiedyś za ich wolność.

I dużo, dużo młodzieży.

Moderunek i ekwipunek jakże biedny niejednolity, improwizowany. Przeważają króciutkie szorty i młodzieńcze nogi, gołe od kostek po uda. Zamiast plecaków i chlebaków — najprzeróżniejsze worki i tłumoczki.

Jakżeż wy, chłopaki kochane, pójdziecie jutro o świcie z tymi gołymi nogami poprzez kłujące gęste krzaki dojrzewającej jeżyny, poprzez druty ogradzające poletka, po ostrych kamieniach i głogach?

■

W gościnnej i miłej sercu kompanii porucznika Ł. spędzam noc. Nasi polscy chłopcy nie szczędzą sił, by uczynić nocleg wygodnym.

Jest dla mnie i trochę słomy, i jakiś jedyny materac, i herbata, i jedzenie i życzliwość serdeczna, bezgraniczna.

Z bronią i granatami w ręku drzemiemy czujnie. Pełnia księżyca.

Na zmianę jego wstaje czerwone, łagodne słońce i zaczyna się ruch.

Gli nomini liberi sono fratelli

Wychodzimy krokiem pośpiesznym drogą na Villa Nuova, z lewej strony drogi, gdzie jest nieco zbocza i mniejsze rażenie z flanki.

Od nocy i rana droga już dudni od pocisków.

Za duże grupy czynicie chłopaki w ruchu! Za wielkie skupienia pod ogniem! Już z punktu są niepotrzebne ofiary; tu i ówdzie ktoś padł zabity lub ranny.

Przebiegamy obsadę ostatniej polskiej kompanii.

Wzdłuż drogi dalej już domki i kościołek aż do zakrętu na górze, gdzie osłona się kończy i jest spory kawałek zupełnie odsłoniętej drogi.

Tam wznosi się kurz ogromny od wyrywanych na drodze lejów.

Tuż na zakręcie trzy polskie czołgi strzelają celnie w długi dom, może klasztor, na lewym skraju Filotrano. Tam także widać kurz sypiących się murów. Artyleria nasza okłada wspaniale całe miasteczko.

Czołgi dalej jechać nie mogą — miny.

Na prawo czerwony dom. Polski podchorąży usiłuje zainstalować łączność! Na podwórzu kilku zabitych i rannych żołnierzy italskich, a w samym drzwiach leży młodzieniec o pięknej, inteligentnej twarzy. Ma zupełnie zniesioną czaszkę i wywalony mózg. Już czarne muchy rojem obsiadły. W pokoju stół nakryty białą serwetą i resztki śniadania: ktoś zaczął i nie zdążył. Chwytam białą serwetę i okrywam przed muchami zabitego w drzwiach.

Nagle głosy z ulicy: „Colonello, colonello, zamknąć drzwi!". Na podwórze raz po raz biją pociski, lecą odłamki, wpadają przez drzwi do domu.

Ostrzegają mnie młode italskie chłopaki, a sami nic się nie kryją. To był pierwszy objaw ich troskliwości o mnie.

Garibaldczycy

Biegnę za nimi. Za nami już zostały przydrożne domki, przed nami kawałek odsłoniętej drogi. Mina przy minie.

Są już tu saperzy italscy. Z temperamentem i zupełnym lekceważeniem ognia wykonują pracę. Lecą na boki drewniane kłódki min, lecą rozbrojone miny talerzowe. Jest ich jeszcze dużo. Zupełnie widocznych i ukrytych.

Moje chłopaki z italskiej piechoty przeskakują miny jak na zabawie, odwracają się ku mnie i wskazują wolne od min miejsca. Stawiają niemal moje nogi na tych miejscach.

CURZIO MALAPARTE

SZCZURY (VI)

(Dokończenie)

„Co się zaś tyczy brudu, ciągnął Frank, nie można zaprzeczyć, że żyją oni w warunkach opłakanych. Niemiec nie zgodziłby się nigdy żyć w podobnym stanie: nawet na żarty". I śmiejąc się głośno, powtórzył: „Ah, ah, ah! nawet na żarty!".

„Byłyby to ciekawe żarty", rzuciłem.

„Niemiec nie umiałby żyć w takich warunkach", powiedział Waechter.

„Niemcy są narodem cywilizowanym", rzekłem.

„Ja, natürlich", potwierdził Fischer.

„Musimy przyznać, że nie ma w tym wyłącznie winy Żydów, mówił Frank, przestrzeń, w jakiej są zamknięci, jest za szczupła na tak liczną ludność. Ale, w głębi rzeczy, Żydzi lubią żyć w brudzie. Brud jest ich naturalną przyprawą. Może dlatego, że wszyscy są chorzy, a chorzy, w braku czegoś lepszego, mają skłonność do brudu. Z żalem trzeba skonstatować, że *mrą, jak szczury*".

„Wydaje mi się, że nie cenią zbytnio zaszczytu życia, zauważyłem, to znaczy zaszczytu życia szczurzego".

„Nie mam wcale zamiaru ich krytykować, odparł Frank, kiedy wyrażam się, że mrą, jak szczury. Jest to po prostu skonstatowanie faktu".

„Trzeba jednak wziąć pod uwagę to, że przy warunkach, w jakich żyją, niemiernie jest trudno przeszkodzić Żydom, ażeby nie wymierali", powiedział Emil Gassner.

„Dużo się zrobiło, wtrącił baron Wolsegger ostrożnym głosem, żeby zmniejszyć śmiertelność w ghettach, ale...".

„W ghetto krakowskim, rzekł Waechter, ustanowiłem, że rodzina zmarłego musi pokryć koszty pogrzebu. I osiągnąłem dobre rezultaty".

„Jestem pewien, rzuciłem ironicznie, że śmiertelność od razu się zmniejszyła".

„Zgadł pan: istotnie się zmniejszyła" roześmiał się Waechter. Śmieli się z nim wszyscy i patrzyli na mnie.

„Należałoby ich traktować, jak szczury, zaproponowałem, dać im trucizny, jak szczurom. Załatwiłoby się szybciej".

„Nie ma sensu wydawać na truciznę, rzekł Fischer, wymierają sami w niesłychanej ilości. Zeszłego miesiąca w samym tylko ghetto warszawskim umarło ich czterdzieści dwa tysiące".

„Wcale niezły procent, stwierdziłem, jeśli tak pójdzie dalej, za parę lat ghetto zupełnie się opróżni".

„Nie można robić żadnych obliczeń, jeśli chodzi o Żydów, powiedział Frank, wszelkie przewidywania naszych ekspertów okazały się w praktyce błędne. Im więcej ich wymiera, tym więcej ich przyrasta".

„Żydzi upierają się, ażeby mieć dzieci, rzekłem, i całą winę ponoszą dzieci".

„Ach, die Kinder!" rzuciła Frau Brigitte Frank.

„Ja, so schmutzig!" dodała Frau Fischer.

„A, zwrócił pan więc uwagę na dzieci w ghetto? zapytał mnie Frank. Są obrzydliwe, nicht wahr? So schmutzig. I wszystkie chore, pokryte strupami, rojące się od robactwa. Gdyby nie litość, budziłyby wstręt. Robią wrażenie szkieletów. Śmiertelność dziecięca w ghettach jest bardzo wysoka. Jaki jest procent śmiertelności dziecięcej w ghetto Warszawy?", zwrócił się do gubernatora Fischera.

„Pięćdziesiąt cztery na sto", odpowiedział Fischer.

„Żydzi są rasą chorą, w zupełnej dekadencji, podjął Frank, wszyscy degeneraci. Nie umieją wychowywać, ani troszczyć się o dzieci, jak się to robi w Niemczech".

„Niemcy są narodem o wysokiej kulturze", wtrąciłem.

„Ja, natuerlich, jeśli chodzi o hygienę dziecięcą, Niemcy stoją na pierwszym miejscu w świecie, ciągnął Frank. Czy zauważył pan olbrzymią różnicę, jaka zachodzi pomiędzy dziećmi niemieckimi i żydowskimi?".

„Dzieci w ghetto nie są dziećmi", odpowiedziałem. (Dzieci żydowskie nie są dziećmi, myślałem przebiegając ulice ghetta Warszawy, Krakowa, Częstochowy. Dzieci niemieckie są czyste. Żydowskie są schmutzig. Dzieci niemieckie są dobrze odkarmione, obute, ubrane. Żydowskie są zagłodzone, pół nagie i boso chodzą po śniegu. Dzieci niemieckie mają zęby. Żydowskie zębów nie mają. Niemieckie dzieci mieszkają w domach czystych, w pokojach ogrzanych, śpią w białych łóżeczkach. Żydowskie żyją w cuchnących domach, zimnych pokojach, natłoczonych ludźmi, śpią na stosach gałganów i papieru, tuż przy łóżkach, gdzie leżą umarli i konający. Dzieci niemieckie się bawią: mają lalki, piłki gumowe, drewniane koniki, żołnierzyków ołowianych, fujyjki, trąbki, pudełka „mechano", bąki. Dzieci żydowskie nie bawią się: nie mają się czym bawić, nie mają zabawek. I wreszcie, nie umieją się bawić! Nie, dzieci z ghetta nie umieją się bawić. Są naprawdę zdegenerowane. Wstrętne! Jedyna ich rozrywka to iść za pogrzebowymi wozami, pełnymi zmarłych. I nie umieją nawet płakać. Albo też iść patrzeć, jak im rozstrzeliwują rodziców i braci za Cytadelą. Jedyna ich rozrywka to zobaczyć, jak im rozstrzeliwują matkę. Prawdziwa zabawa dzieci żydowskich).

„Rozumię się, że nie jest łatwą rzeczą dla naszej służby technicznej dać sobie radę z podobną ilością umarłych, mówił Frank, potrzeba by co najmniej dwieście wozów ciężarowych na miejsce tych kilkudziesięciu wózków ręcznych, jakimi dysponujemy. Nie wiemy już nawet, gdzie ich grzebać: jest to trudny problem".

„Mam nadzieję, że jednak ich pogrzebiecie", rzekłem.

„Oczywiście! czy myśli pan, że oddamy ich na pożarcie ich rodzinom"? roześmiał się Frank.

Śmieli się wszyscy „ach so, ach so, ja,ja, ja, ach so, wunderbar!" I ja również zacząłem się śmiać. Moje przypuszczenie, że gotowi ich nie pogrzebać, było naprawdę

BRATERSTWO

Wpadamy do fabryczki, czy jakiegoś składu narzędzi rolniczych. Niemcy pierzchli od razu. Zostaje po nich trochę broni, chlebaków i napisy propagandowe na murach, po angielsku, specjalnie dla Polaków. Na górce w ogrodach — Ospedale.

Jeszcze jeden skok pod ogromnym ogniem wszelkich broni. Kilkunastu zabitych i tyluż rannych. Ospedale jest w naszym ręku.

Artyleria niemiecka wzmaga swój ogień do największego nasilenia. Nasza milknie, by nie strzelać do swoich. Niestety, milczeć będzie jeszcze długo, gdyż nie mając łączności tracimy możność kierowania jej ogniem.

Nieprzyjaciel w mieście jest bardzo silny i uporczywy. Jeńcy potwierdzają wczorajsze wiadomości o przybyciu posiłków. Mają nie tylko utrzymać Filotrano, lecz nacierać i odebrać stracone stanowiska.

Za chwilę z uliczek, które zbiegają się na placu przed kościołem, wychodzi przeciwnatarcie, bardzo silne i sprawne. Są dwa czołgi. Zaczyna się walka o ogród, Ospedale, o zabudowania, o drzwi i okna. Odparci w jednym miejscu, Niemcy nacierają w drugim. Ich ogień artylerii nie ustaje ani na chwilę. Mają ogromną przewagę, bo nasza artyleria nie strzela.

Trzeba z nią znaleźć za wszelką cenę łączność. Musi strzelać jak najprędzej na kościół i ten długi dom, gdzie jest źródło niemieckich odwodów. Spieszę do fabryczki. Ogłuszony jestem zupełnie wybuchami pocisków. To dobrze, bo człowiek staje się na nie mniej wrażliwy. Tuż jest dzielny nasz polski kapitan artylerzysta B.

■

Do fabryczki trzeba przeskoczyć drogę, a potem placyk od tylnej strony budynku. Gdy już jestem na tym placyku i zwalniam swe tempo, spostrzegam w oknie i w drzwiach kilkanaście młodych twarzy i słyszę chór głosów; „Colonnello, colonnello, tu! Prędzej!" — Pokazują na drzwi. Daję susa w drzwi. Otaczają mnie chłopaczyska, gładzą po ramionach i twarzy i cieszą się bardzo. Okazuje się, że plac jest cały pod ogniem Spandau i strzelców wyborowych, czego nie słyszałem przy huku dział.

Cieszą się chłopcy, a ja pytam: Co za przyczyna takiej manifestacji sympatii?

Na to chór głosów: „Colonnello, przecież wy nie dla interesu, a za sprawiedliwość. My to sercem czujemy. Wy się bijecie wszędzie. My chcemy tego samego. Pamiętamy — Garibaldi. „Gli uomini liberi sono fratelli". Znamy wasze hasło. „Za wolność waszą i naszą". Słyszeliśmy, rozumiemy".

Chłopcy kochani, chłopcy najdrożsi. Przecież to samo w mojej duszy pali się od dziecinnych lat. Przecież nigdzie indziej jak na naszej polskiej ziemi, pod Miechowem, spoczywa pod wysokim pomnikiem wasz Francesco Nullo, a na pomniku napis: „Gli uomini liberi sono fratelli". Tuli jego prochy krwawa nasza ziemia od roku 1863. Dzieci polskie znają jego imię, otaczają je miłością i czcią.

Była tam gdzieś, kiedyś, sto lat już temu, wiosna ludów i wasz Garibaldi. Kto wie, czy nie nadchodzi teraz ludów tych lato i żniwo, kto wie, czy z gruzów miast i kościołów nie obudzi się sumienie świata i nie pójdzie za głosem sprawiedliwego Boga.

Trzeba jednak nieustępliwie iść drogą honoru i prawdy, a nie kłamliwej propagandy! Drogą walki o imponderabilia ludzkiego zbiorowego życia. A na to trzeba i trzeba ofiarnej krwi naszej i waszej.

Chociażby noc była dzisiaj przed nami najczarniejsza.

Il cuore

W fabryczce drżą ściany i walą się sufity od ciężkiej artylerii i moździerzy. Raz po raz uderzają pociski ppanc tworząc w ścianach okrągłe dziury o najprawidłowszych formach, tak dobrze nam znane.

Tu gdzieś na piętrze pułkownik włoski — dowódca. Trapi go brak łączności z artylerią ponad wszelki wyraz. Idę do niego.

Przybiegają łącznicy z Ospedale i innych zakamarków miasta. Nogi gołe od kostki do uda, podrapane niemiłosiernie i pokrwawione. Meldują się jeden po drugim w doskonałej postawie wojskowej. Oczy błyszczą żołnierskim zapałem, tak dobrze znanym staremu żołnierzowi. Po meldunku ten i ów zdejmuje pas, rozpina kurtkę lub spodnie — jest ranny — kładzie się obok w pokoiku o potrzaskanym suficie.

■

Cóż to za obrazek? To coś znów tak znajomego i rodzonego!

Aha! Książka jedyna i prześliczna: „Serce" d'Amicis'a w przekładzie Marii Konopnickiej! Najulubieńsza książka naszych polskich dzieci. Dziennik włoskiego chłopca, ucznia szkoły powszechnej, przeplatany tak zwanymi „opowiadaniami miesięcznymi", przeważnie z okresu walk o wolność i zjednoczenie Italii.*)

Chłopcy kochani. Poszedłem potem z fabryczki szukać łączności z artylerią waszą i polską, do najbliższej polskiej kompanii. Po drodze grzmotnął mnie odłamek pocisku. Była godzina 15.

Wasz pułkownik opatrzył mnie na miejscu. Jakoś dałem sobie radę i nic nie czułem, bo byłem z wami razem i w zapale bitwy.

Znaleźliśmy łączność z artylerią, która od razu położyła doskonały ogień, tam gdzie trzeba. Poderwaliśmy się znów do natarcia, a z nami te trzy polskie czołgi, które tak pięknie wjechały do walki na zakręt i w ciągu paru minut zostały trafione i spalone. Załogi na szczęście ocalały. I ta bateria ppanc, która się tak ślicznie rozwinęła i której połowę załogi widziałem potem poranioną w szpitalu.

Słońce już zachodziło, gdy przyszły rozkazy wyższe o przerwaniu natarcia. Ospedale osaczone trzymało i utrzymało się do końca.

Następnego dnia zdobyliście Filotrano, ale już beze mnie.

Tejże nocy widziałem w szpitalu bardzo dużo waszych rannych.

Mówiono mi, że było ich paruset, a zabitych kilkudziesięciu.

Ten dzień mego pobytu między wami, wspaniali chłopcy Wolnej Italii, zaliczam do najpiękniejszych dni mego żołnierskiego życia.

Vinceremo!

I jeszcze jedno. Na murach Filotrano, pośród obrzydliwych niemieckich napisów propagandowych, widziałem napis: „Vincere". Widziałem go wszędzie w Italii, w starych miasteczkach i w urodzajnych dziś Pontyjskich Błotach, w Littorii, Sabaudii itd.

To wasze „Vincere" może się niektórym wydawać dziś anachronizmem, symbolizującym przegraną na razie wojnę i potknięcie się o kamień historii.

Przenigdy!

Odnosił tu zwycięstwa i Pyrrhus. Był tu Attyla z Hunnami, i Longobardowie, byli Wandale, Gocj i Arabowie i tylu innych.

Sypały się w gruzy antyczne świątynie i mozolnie dźwigane chrześcijańskie kościoły.

Nie nowe to dla was, jak i dla nas, Polaków.

Ze zgliszcz i gruzów jednak zostawało tu zawsze coś. A to „coś" było zawsze tak bogate i prężne, że potrafiło sycić i was i wszystkie narody na świecie.

Wasza la bella Italia, tak bliska naszemu katolickiemu sercu, była i będzie zawsze życiodajną krynicą, bijącą z miliona niewyczerpanych źródeł.

Do tej krynicy dusza ludzkości, spragniona wyższych lotów, przypadać będzie zawsze, by czerpać i czerpać...

Tak jak czerpiemy dziś my, polscy żołnierze-tułacze, których Bóg wyprowadził z sybirskiej tundry i tajgi, gdzie nad nami wisiały śmierć i zatracenie. Którym pozwolił uderzyć czołem o Grób Chrystusa w Ziemi Świętej, by umocnić w walce ze złymi mocami świata.

A teraz, po raz wtóry w historii, prowadzi nas do Polski przez waszą „ziemię włoską". Ziemię jego świętych męczenników, którzy w walce ze złem nie znali kompromisu. Ziemię niezapomnianej w dziejach Wiosny Ludów.

Daj Boże do żniw!

A więc nie anachronizm — „Vincere!" Vincerete!

Dokona tego dynamizm młodzieży waszej. Tej, która już jest, i tej, która, jak tęgi młody las, wyrasta z waszych licznych i pięknych bambinów.

E.

Miasteczko na górze

*) Na Monte Cassino, w ruinach klasztoru, jeden z braci Benedyktynów, dyrektor tamtejszego do niedawna Collegium, szkoły średniej, mówił mi, że najpoczytniejszą książką wśród jego młodzieży była... Trylogia Sienkiewicza: „Ogniem i Mieczem", „Potop", „Pan Wołodyjowski".

Wpływ wychowawczy ogromny i dodatni. „Obrona Częstochowy", mówi brat wyciągając z brewiarza obrazek Częstochowskiej i wskazując palcem blizny na jej obliczu. „A cóśmy się nasmiali z waszego Zagłoby!"

---

zabawne. Stanęły mi łzy w oczach z wielkiego śmiechu na samą myśl o tym. Frau Brigitte Frank przyciska sobie pierś obiema rękami, odrzuciwszy w tył głowę i otworzywszy usta: „ach so, ach so, wunderbar!"

„Ja so amusant!" rzekła Frau Fischer.

Obiad dobiegał do końca: byliśmy przy uroczystym rytuale, jaki niemieccy myśliwi zowią „honorem noża". Zamykał „le cortege d'Orphee" („orszak Orfeusza"), jak się wyraził Frank cytując Apollinaire'a, młody jeleń z lasów Radziwiłłowa, którego dwóch lokajów w błękitnej liberii przyniosło na stół nadziany na rożen, według odwiecznej polskiej tradycji myśliwskiej. Pojawienie się jelenia, który miał zatkniętą w grzbiecie czerwoną chorągiewkę hitlerowską z czarną swastyką, odwróciło na jakiś czas uwagę biesiadników od tematu ghetta i Żydów. Wszyscy podnieśli się i zrobili uroczystą owację Frau Fischer, ta zaś, zarumieniona ze wzruszenia, uśmiechnięta, ofiarowała z nieśmiałym ukłonem honor noża Frau Brigitte Frank. Ładnie się pochyliwszy, ażeby odebrać z rąk Frau Fischer nóż myśliwski o rękojeści z jeleniego rogu i szerokim ostrzu w srebrnej pochwie, Frau Brigitte Frank skłoniła głową na prawo i lewo, składając ofiarę gospodarzom i zaproszonym i rozpoczęta ceremonię wyjmując nóż z pochwy i zatapiając ostrze w grzbiecie jelenia.

Wolno, ze zręcznością, cierpliwością i elegancją wyrywającymi z ust biesiadników okrzyki zdumienia i oklaski, Frau Brigitte Frank krajała z grzbietu, z ud i piersi jelenia szerokie i grube płaty mięsa, delikatnego, różowego, przeniknięto do głębi żarem pocałunku płomieni; płaty owe rozdawała przy pomocy Keitha, po kolei, podług wyboru, który za każdym razem poprzedzało kiwanie głową, rzucanie dokoła wzrokiem, wysuwanie warg oraz inne, podobne, wdzięczne oznaki wątpliwości i niezdecydowania. Dzięki memu charakterowi, albo, jak się wyraził Frank, dzięki mej „zalecie" cudzoziemca, zostałem obsłużony przed innymi. Drugim, ku memu wielkiemu zdziwieniu, był sam Frank: ostatnim, ku memu jeszcze większemu zdziwieniu, był nie Fischer, lecz Emil Gassner. Koniec ceremonii pożegnany został ogólnym poklaskiem, na który Frau Brigitte Frank odpowiedziała głębokim ukłonem, nie pozbawionym (co mi sprawiło niespodziankę) wdzięku. Nóż pozostał wbity w grzbiet jelenia, obok czerwonej chorągiewki o czarnej swastyce. Wyznaję, że widok tego noża i tej chorągiewki w grzbiecie szlachetnego zwierzęcia budził we mnie rodzaj niesmaku: do tego przyłączyło się wrażenie odrazy, wywołanej słowami biesiadników, którzy stopniowo podjęli temat Żydów i ghetta.

Gubernator Fischer skrapiając za pomocą łyżki swoje płaty jelenia złocistym deszczem sosu objaśniał, jak się w ghetto grzebie Żydów: „warstwa trupów i warstwa wapna, warstwa trupów i znowu warstwa wapna", zupełnie, jak gdyby mówił: „płat mięsa i warstwa sosu, płat mięsa i warstwa sosu".

„To jest najbardziej hygieniczny system" zauważył Waechter.

„Co się tyczy hygieny, rzekł Emil Gassner, Żydzi są więcej zaraźliwi za życia, niż po śmierci".

„Ich glaube so!" wykrzyknął Fischer.

„Mniejsza o umarłych, powiedział Frank, jeżeli mnie co niepokoi, to dzieci. Niewiele, niestety, jest w naszej mocy, ażeby zmniejszyć dziecięcą śmiertelność w ghettach a jednak chciałbym coś zrobić, żeby ulżyć w cierpieniach tym nieszczęsnym maleństwom. Chciałbym wychować je w duchu miłości do życia, nauczyć je chodzić z uśmiechem po ulicach ghetta.

„Z uśmiechem? — rzekłem —chce je pan nauczyć uśmiechać się? chodzić z uśmiechem po ulicach ghetta? Żydowskie dzieci nigdy się nie nauczą uśmiechać, choćbyście im to wpajali batem. Nie nauczą się nigdy nawet chodzić. Czy nie wiecie, że dzieci żydowskie nie chodzą? Dzieci żydowskie mają skrzydła."

„Skrzydła?!" wykrzyknął Frank.

Głębokie zdumienie odbiło się wszystkim na twarzy: patrzyli na mnie w milczeniu, wstrzymując oddech.

„Skrzydła?!" zawołał Frank, otworzywszy usta w niepohamowanym śmiechu. Podniósłszy ramiona i poruszając rękoma nad głową, jak gdyby to były skrzydła, szczebiotał „cip! cip! cip!" głosem od śmiechu zduszonym; równocześnie wszyscy biesiadnicy, podniósłszy za nim ręce i poruszając nimi nad głową, wołali: „ach so! ach so! cip! cip! cip!".

Po skończonym obiedzie Frau Fischer powstała i poprowadziła nas do swego prywatnego salonu, gdzie swego czasu był gabinet pułkownika Becka. Fotel, na którym siedziałem, niemal że dotykał oparciem kolan białego, marmurowego posągu, przedstawiającego greckiego atletę, w owym stylu, który bierze nazwę z Monachium. Światła były dyskretne, dywany głębokie i ogień z polan dębowych trzaskał w kominku. Było gorąco, powietrze pachniało koniakiem i tytoniem. Naokoło mnie brzmiały szorstkie głosy, przerywane owymi niemieckimi wybuchami śmiechu, których nigdy nie potrafię słyszeć bez pewnego niesmaku.

Keith mięszał w kryształowych kielichach czerwony burgund, gęsty i ogrzany Volney, z bladym szampanem Mumma. Był to „Turkischblut", „krew Turka", tradycyjny napój niemieckich myśliwych po powrocie z polowania.

„I tak, powiedział Frank w jakiejś chwili zwracając się do mnie ze szczerą przykrością w głosie, i tak to dzieci żydowskie mają skrzydła, co? Jeśli zacznie pan to rozgłaszać we Włoszech, wszyscy Włosi panu uwierzą. Oto jak się rodzą legendy o Żydach. Gdyby się chciało wierzyć angielskim i amerykańskim dziennikom, można by myśleć, że Niemcy nic w Polsce innego nie robią poza mordowaniem Żydów od rana do wieczora. A przecież pan przebywa już w Polsce od przeszło miesiąca i nie może powiedzieć, że widział Niemca, który by ruszył włos Żydowi na głowie. Pogromy są taką samą legendą, jak skrzydła żydowskich dzieci. Niech pan pije spokojnie, dodał podnosząc czeski kielich, pełen Turkischblut, niech pan pije bez obawy, mein lieber Malaparte: to nie jest krew żydowska. Prosit!".

„Prosit!" odparłem wznosząc kielich; i zacząłem opowiadać, co się zdarzyło w zacnym mieście Jassy, w Mołdawii.

Curzio Malaparte

BARANKI W KLATKACH — TYGRYSY NA WOLNOŚCI

(Przegląd prasy)

Czyż potrafimy oderwać myśl naszą od nowego września polskiego? Czyż możemy oprzeć się uczuciom, jakie nas na ten straszliwy widok ogarniają, uczuciom, wśród których nad rozczarowaniem bierze górę bezbrzeżne zdumienie? Jak to jest możliwe — pytamy — żeby w przededniu zwycięstwa nad wspólnym wrogiem pierwszy sojusznik mocarstw demokratycznych wpędzany był w taką tragiczną samotność militarną i polityczną, w samotność, która grozi zagładą fizyczną i prawną narodu? Czy rzeczywiście Polska nigdy nie przestanie być „Chrystusem narodów", jakiego w niej widzieli sto lat temu romantyczni poeci i myśliciele? Ileż razy można tak krzyżować naród, który wykazał, że jest zdolny do twórczego życia w rodzinie narodów cywilizowanych i który w każdej potrzebie europejskiej bywał wzorem dla innych? Jak długo można przyglądać się takiej zbrodni z cynicznym spokojem? Dlaczego namnożyło się w świecie tylu Piłatów, którzy sceptycznie pytają: „Co jest prawdą?" i umywają ręce?

Jeżeli nie mamy się stać bezbronnymi ofiarami tych naszych uczuć, jeżeli te straszliwe zagadki nie mają doprowadzić nas do rozpaczy — musimy na chwilę oderwać myśl od polskiego września i zajrzeć w serca Piłatów, by odkryć źródła niemocy, która może jest objawem większego jeszcze konania niż agonia Warszawy.

Nikt nie wie dotąd, jaką cenę świat zapłaci za zwycięstwo nad Niemcami, wiadomo już jednak, jaką gotów za to zwycięstwo zapłacić. Mamy coraz więcej danych na to, by twierdzić, że rachunek ten będzie wyrównany kosztem słabych. Tak zadecydowali silni. Wiemy o tym nie od dziś, ale świeżo odbyła się w Stanach Zjednoczonych w Dumbarton Oaks konferencja „wielkiej czwórki", gdzie to zostało potwierdzone.

Konferencja uzgodniła...

Dowiadujemy się o tym ze „Stars and Stripes". Wiadomość zaczyna się optymistycznie i pocieszająco: konferencja uzgodniła, że „Stany Zjednoczone... użyją swoich sił zbrojnych automatycznie na żądanie międzynarodowej organizacji dla utrzymania pokoju". Innymi słowy, skoro tylko organizacja ta stwierdzi, że nastąpiła gdzieś w świecie agresja, wojska amerykańskie natychmiast ruszają na agresora. Co prawda, doświadczenia wcześniejsze każą nam obawiać się, czy owa organizacja międzynarodowa istotnie kiedykolwiek odważy się napiętnować jakieś mocarstwo jako agresora — ale przypuśćmy, że tak.

I tu zaczynają się ograniczenia tak chwalebnej dobrej woli. Przede wszystkim, głos decydujący w owej organizacji będą miały cztery mocarstwa z tzw. „grubej czwórki", a uchwały muszą zapadać jednomyślnie. Agresorem będzie więc tylko ten napastnik, którego za agresora uznają jednomyślnie Ameryka, Anglia, Rosja i Chiny; jeżeli jedno z nich powie, że napastnik nie jest agresorem, siły zbrojne międzynarodowej organizacji nie ruszą się i agresor będzie mógł spokojnie dokończyć swego dzieła. A jeżeli weźmiemy pod uwagę, że agresorem może być jeden z członków „grubej czwórki", będziemy mieli zupełnie nowy aspekt „porządku międzynarodowego", jaki uplanowano w Dumbarton Oaks.

Czy znaczy to, że tzw. „mniejsze narody" nie będą brały udziału w międzynarodowej organizacji? Nie, tego to nie oznacza. „Zgoda mniejszych państw będzie konieczna dla wprawienia w ruch sił zbrojnych, gdy agresja zagrażać będzie światu — piszą „The Stars and Stripes" — lecz żaden mniejszy naród nie będzie miał prawa weta". Mniejsze państwo może tylko zgodzić się na uchwałę grubej czwórki, nie może natomiast nie zgodzić się! Widać z tego jasno, że zgoda jest pożądana, ale nie jest konieczna. Udział mniejszych państw ograniczy się więc do przyjmowania dyktatu „grubej czwórki".

Lecz na tym nie koniec. „Z drugiej strony należy liczyć się z tym, że każdy wielki naród będzie miał dostateczne prawo weta, by zapewnić sobie ochronę swojej własnej strefy wpływów. Rosja np. będzie mogła zapobiec interwencji międzynarodowej organizacji w jej własną strefę wpływów. Stany Zjednoczone — zanim nie zgodzą się na plan działania (przeciwko agresorowi) mogą zapobiec zbrojnej akcji (innych członków organizacji międzynarodowej) na półkuli zachodniej". Organizacja międzynarodowa będzie więc międzynarodowa tylko z nazwy, faktycznie będzie to organizacja „międzystrefowa": gdyby w strefie wpływów któregoś z wielkich mocarstw grubej czórki powstał agresor, siły zbrojne wszystkich członków organizacji ruszają na agresora, jeżeli zgodzi się na to mocarstwo przewodzące w danej strefie wpływów. Oczywiście, może się zdarzyć, że inne mocarstwo zaprotestuje przeciwko użyciu sił zbrojnych organizacji nawet w tym wypadku, ale to nie powstrzyma oczywiście zainteresowanego mocarstwa od użycia własnych sił zbrojnych i nikt nie będzie miał prawa przeciwko temu występować!

Aby zrozumieć, o co tu chodzi, weźmy przykład. Załóżmy, że Korea będzie leżała w chińskiej strefie wpływów. Chiny oświadczą, że Korea dopuściła się agresji na terytorium — dajmy na to — Mandżurii i zażądają pomocy organizacji międzynarodowej (może to zrobić zamiast Chin — Mandżuria). Przypuśćmy, że Korei nie uda się przekonać międzynarodowej organizacji, iż wcale nie dokonała agresjii na Mandżurię, załóżmy jednak również, że wrażliwe sumienie Wielkiej Brytanii nie pozwoli jej dopuścić do tego, by siły zbrojne całego świata ruszały na Koreę i Anglia założy weto. Międzynarodowe siły zbrojne nie zostaną więc uruchomione. Z kolei Korea poprosi międzynarodową organizację o pomoc przeciwko Chinom. Czy uzyska ją? Nie, bo Chiny mają prawo wyprosić sobie interwencję w swojej strefie wpływów. Korea w bardzo krótkim czasie zostanie wcielona do Chin i „pokój zostanie przywrócony".

Dodanie Francji

W Dumbarton Oaks został więc stworzony powojenny porządek międzystrefowy zamiast dawnego porządku międzynarodowego. Baranki mają być zamknięte w klatkach, na których straży staną tygrysy. Wynikałoby z tego, że świat już został podzielony na cztery strefy wpływów. Czy jednak jest tak rzeczywiście? „Początkowo — pisze „The Stars and Stripes" — będą istniały cztery mocarstwa: Rosja, Chiny, Wielka Brytania i Stany Zjednoczone. Później planowane jest dodanie do tego Francji". Niemcy i Japonia — chociaż niewątpliwie są mocarstwami — pozostaną poza nawiasem wielkich mocarstw, ale czy pozostaną poza strefami wpływów czterech wzgl. pięciu mocarstw? Na to pytanie w Dumbarton Oaks nic dano odpowiedzi. Sprawę tę załatwiono być może — przynajmniej jeżeli chodzi o Niemcy — na konferencji Europejskiej Komisji Doradczej w Londynie, która — jak słychać — ustaliła już warunki rozejmu dla Niemiec. Mają nad tym obradować Roosevelt i Churchill w Quebecu. Ponieważ do tematów konferencji Wielkiej Dwójki będzie należało także zagadnienie japońskie, możemy niebawem spodziewać się wyjaśnień w tej sprawie. Jeżeli bowiem Niemcy i Japonia nie zostaną podzielone między strefy wpływów grubej czwórki lub piątki i jeżeli nie zostaną rozbite na kilka mniejszych państw lub — przez odebranie im przemysłu — zdegradowane do roli mniejszych państw — uchwały z Dumbarton Oaks zawisną w próżni. System międzystrefowy może się utrzymać tylko wtedy, gdy Niemcy i Japonia zostaną między poszczególne strefy wpływów podzielone lub też włączone do jednej z nich (np. Niemcy do sowieckiej, albo francuskiej, albo angielskiej, a Japonia do chińskiej, sowieckiej, angielskiej lub amerykańskiej).

Cóż jednak oznacza zamiar rozszerzenia „grubej czwórki" i ustanowienia „grubej piątki?" Czy Francja istotnie jest mocarstwem, które może mierzyć się z innymi kolosami przemysłowymi? Bądźmy jeszcze ściślejsi i zapytajmy, czy kwalifikacje takie posiadają choćby Chiny? Jeżeli chodzi o Chiny, podkreślano niejednokrotnie, że mogą się one stać wielkim mocarstwem, lecz obecnie nim nie są. Mimo to należą do mocarstw decydujących. Tak samo zapewne trzeba postawić sprawę Francji: była ona i może znowu stać się wielkim mocarstwem, ale w tej chwili nim nie jest. Cóż to jednak za polityka, która oddaje decyzję przyszłym wielkim mocarstwom? I dlaczego — skoro wyjątek ten robi się dla Chin i chce się go zrobić dla Francji — nie dopuszcza się go np. dla Indii albo Polski?

Odpowiedź na to pytanie znajdujemy w dwóch faktach: 1. Niemcy i Japonia jeszcze nic są pokonane i 2. Sowiety nie są w wojnie z Japonią. W tych warunkach strefy wpływów nie mogą jeszcze być ustalone, przynajmniej nie ostatecznie. Mogłoby się bowiem zdarzyć, że po dokładnym ustaleniu stref wpływów wielka ilość narodów tzw. „mniejszych" doszłaby do wniosku, że należy zapobiec, by Niemcy i Japonia przestały być przeszkodami na drodze do ustalenia stref wpływów! Ale z drugiej strony zagadnienia stref wpływów nie można pomijać i trzeba je stawiać, gdyż inaczej Rosja lub Chiny mogłyby dojść do wniosku, że wcale nie są zainteresowane w klęsce Niemiec i Japonii.

Tak więc awansowanie Chin i Francji do roli wielkich mocarstw ma na celu zneutralizowanie mniejszych państw w rozgrywce o podział świata między Amerykę, Anglię i Rosję, podczas gdy tworzenie systemu międzystrefowego ma na celu powstrzymać Rosję od ewtl. połączenia się z Niemcami i Japonią. System międzystrefowy i dopuszczenie do niego Chin oraz ewtl. Francji jest więc narzędziem pacyfikacji z jednej strony mniejszych narodów, a z drugiej strony Rosji. Dzięki tej koncepcji mniejsze państwa — a więc takie, które nie są dostatecznie uprzemysłowione, by móc na własną rękę prowadzić wojnę z wielkim mocarstwem — stają się bezbronne wobec wielkich mocarstw, gdyż pozbawione są oparcia o najsilniejsze swoje składniki. Lecz jeszcze ważniejsze jest, że dzięki koncepcji porządku międzystrefowego Sowiety nie mogą (rzekomo) wypaść z aliansu z Anglosasami, ponieważ alians ten zapewnia Sowietom powstanie i zabezpieczenie ich własnej strefy wpływów.

Krótko i zwięźle: plan nowego porządku powojennego pomyślany jest jako próba 1. zabezpieczenia się mocarstw kapitalistycznych przed rewolucyjną ekspansją Sowietów i 2. ograniczenia Sowietów do pewnej określonej strefy wpływów. Drugorzędne znaczenie ma fakt, że system ten równocześnie ma zabezpieczyć Stanom Zjednoczonym hegemonię na Półkuli Zachodniej, tj. na całym kontynencie amerykańskim oraz zapewnić Imperium Brytyjskiemu bezpieczeństwo przed obcą interwencją w Europie zachodniej i w Azji.

Jak w r. 1939 byliśmy ofiarami polityki mocarstw zachodnich, która doprowadziła do nadmiernego wzmocnienia Niemiec — mimo niebezpieczeństwa, jakie tym mocarstwom groziło ze strony hitlerowskiego nihilizmu — tak dziś jesteśmy ofiarami polityki mocarstw zachodnich, która doprowadziła do nadmiernego wzmocnienia Rosji — mimo niebezpieczeństwa, jakie im grozi ze strony bolszewickiego nihilizmu. Jak wtedy stawialiśmy na zdrowy zmysł samozachowawczy wielkich demokracji, który zmusi te narody do ocknięcia się, tak dziś stawiamy znowu na tenże zmysł samozachowawczy wielkich demokracji i wierzymy, że spełnią one do końca swoją rolę obrońców kultury zachodniej, choćby je to miało dużo kosztować. Dlatego jesteśmy pro-angielscy i pro-amerykańscy i dlatego potępiamy wszystkich, którzy tę wiarę stracili i idą na ryzykowne, bo samobójcze dla narodu polskiego eksperymenty. Z tych to powodów nie dopuścimy, by Polska przestała być sojusznikiem wielkich demokracji a stała się wasalem jakiegokolwiek nihilistycznego mocarstwa.

Niniejszy przegląd zamierzaliśmy oprzeć na posiadanym materiale prasowym, który wykazuje, że w duszach Piłatów rozpanoszył się ów lęk przed własną misją i owa niewiara we własne siły, która każe im poświęcać najistotniejsze swoje interesy dla złudzenia bezpieczeństwa i mirażu pokoju. Dopiero z zestawienia tego materiału miały wyniknąć wnioski, które powyżej tak obszernie przedstawiliśmy. Aby czytelnika, który przebrnął przez to rozumowanie, jednak jeszcze odszkodować i nie pozbawiać go wglądu w nasz materiał dowodowy, streścimy niektóre artykuły z prasy angielskiej i amerykańskiej, na jakich m. in. oparliśmy nasz wywód.

Byle nie spojrzeć prawdzie w oczy

Z rosnącej wciąż serii artykułów na temat możliwości pokojowego współżycia kapitalizmu i bolszewizmu czyli Anglosasów i Rosji wybieramy najświeższy: artykuł G. Crowthera pt. „Czy kapitalizm i komunizm muszą się zderzyć?" w numerze „New York Times Magazine" z dnia 6 sierpnia. Na to interesujące pytanie amerykański autor odpowiada zdecydowanie negatywnie. Aby móc dać taką odpowiedź, Crowther musi twierdzić co następuje: „Nigdy nie było w świecie tak nieagresywnego i nie dążącego do ekspansji systemu, jak w obecnej chwili komunizm". „W przeszłości kapitalizm był równie szczęśliwy w swoich aktach nieświadomej agresji, jak pechowy był komunizm w swoich aktach świadomej agresji". „Jeżeli uda się doprowadzić kapitalizm do tego, by przestał atakować komunizm, nie widzę powodu, by te dwa systemy gospodarowania musiały popaść w poważny konflikt z sobą". „Jeżeli nie będzie prób wywołania kapitalistycznej rewolty w Rosji (!) lub komunistycznej rewolucji w Ameryce i Anglii — wówczas konflikt może powstać tylko w dziedzinie handlu międzynarodowego". Ale i tu konflikt jest nieprawdopodobny, ponieważ „Rosja po wojnie będzie eksportowała tylko w takich rozmiarach, jak to będzie konieczne, by opłacić tę część importu, której nie otrzyma na kredyt lub za wyprodukowane w Rosji złoto". Reszta artykułu poświęcona jest pytaniu, czy komunizm i kapitalizm mogą współistnieć ze sobą w tym samym kraju. Odpowiedź Crowthera brzmi, że choćby nie chciały, muszą to osiągnąć. Autor nie zauważa, że projektując kombinację prywatnej inicjatywy z gospodarką kolektywną nie czyni nic innego, tylko propaguje narodowy socjalizm w typie schachtowsko-hitlerowskim. Ponieważ takie postawienie sprawy wykracza daleko poza główny temat artykułu, pomijamy tę jego część. Zacytowane tezy pierwszej części stanowią dostateczny dowód na twierdzenie, że publicystyka amerykańska ucieka się do najdziwaczniejszych złudzeń, byle tylko nie spojrzeć w oczy niewygodnej prawdzie.

Sowiety nie myślą wcale o tym, by bolszewizować Stany Zjednoczone bezpośrednio. Droga pośrednia jest znacznie pewniejsza. Polega ona na tym, by wszelkimi sposobami wzmocnić w Ameryce kapitalizm, i to kapitalizm jak najbardziej liberalny, dziki. Pisaliśmy już o tym parokrotnie. Ameryka rozwijająca się dalej po linii rooseveltowskiego „New Deal'u", który jest formą gospodarki nowoczesnej, byłaby stracona dla Sowietów, bo stałaby się bardzo silna. Odrodzenie kapitalizmu i związanie tego kapitalizmu z rosyjskim rynkiem zbytu daje Moskwie najpewniejsze narzędzie opanowania Stanów Zjednoczonych od wewnątrz. Potwierdza nam to raz jeszcze sowietofilski tygodnik amerykański „The New Republic" (29.V.1944) pisząc: „Pragnąc zharmonizować swoją działalność z tym, co uważają za życzenie Stalina (a co tym życzeniem jest na pewno — przyp. red.) — komuniści amerykańscy poczęli ostatnio bronić prywatnej inicjatywy i świeżo skarcili liberałów za atak na wielką własność". Dla nas nie ma w tym nic dziwnego.

Jak przystosować się?

Angielski laburzysta (socjalista) Lasky napisał całą książkę, by wykazać, że Sowiety nie mają żadnych aspiracji w świecie, pragną tylko obronić się przed kapitalistyczną interwencją w Rosji, której boją się panicznie. P. Lasky uważa, że można Rosji odebrać ten lęk tylko w jeden sposób: otoczyć Rosję krajami socjalistycznymi. P. Demarce Bess zamieściła w „The Saturday Evening Post" artykuł pt. „Czy Europa stanie się po wojnie komunistyczna?" — w którym daje wyraz przekonaniu, że z wyjątkiem kilku mniejszych państw w Europie zachodniej i w Skandynawii — żaden naród europejski nie zechce po wojnie powrócić do demokracji, jak to sobie wmawia większość opinii anglosaskiej. Zdaniem p. Bess nie uczyni tego nawet Francja. Kraje bałtyckie, część Polski i Rumunii zostaną skomunizowane, gdyż staną się częścią Sowietów. Reszta krajów Europy (z Polską włącznie) stworzą systemy totalitarne, do czego ośmieli je obecność Sowietów w koalicji antyniemieckiej. I dlatego pytanie, które powinni sobie stawiać Amerykanie, nie brzmi: „Co powinniśmy uczynić z Europą?" — ale: „Jak możemy przystosować się do europejskiej rewolucji?"

Artykuł p. Bess był w swoim czasie cytowany przez całą prasę światową. W swoich wnioskach nie odbiega on od argumentacji p. Lasky, a nawet zbliża się do wywodów Crowthera. Od rewolucji nie ma ucieczki, trzeba się do niej przystosować.

Ten zarys kapitulacjonistycznej myśli anglosaskiej niechaj nam wystarczy na początek. Będziemy się tą sprawą zajmowali jeszcze nieraz: musimy bowiem zrozumieć, skąd się bierze tragiczna samotność Polski, bo musimy znaleźć metody, które pozwolą nam stać się raz jeszcze narodem przodującym w Europie. Jesteśmy dziś kozłem ofiarnym złego systemu, jutro musimy być pionierem dobrego systemu. A wówczas skończy się nasza samotność. **Narcyz Biedronka**

Wydawca: Oddział Prop. i Kult. Armii Polskiej na Wschodzie. Tłoczono w Ciężkiej Drukarni Polowej A. P. W. Adres redakcji i administracji: Polforces CMF 58.